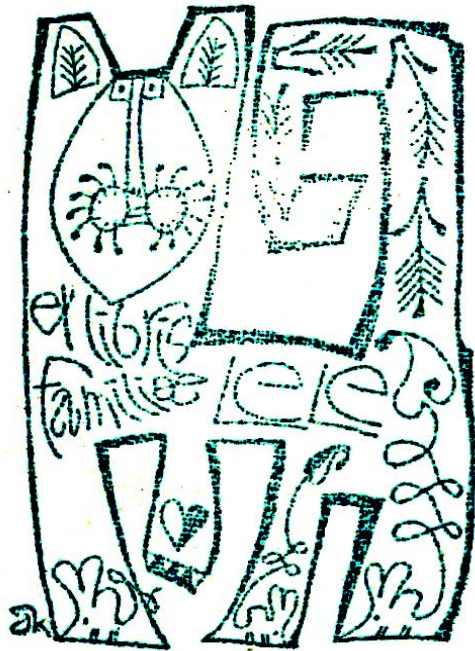


# 6. ROK KOTA



CENTRAL EUROPEAN PRESS CORPORATION 03 REGIOPOLIS  
ŚRODKOWO - EUROPEJSKA KORPORACJA PRASOWA REGIOPOLIS

www.RegioPolis.net e-mail: nimendelu@yahoo.com.cn



## ULICA WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

MIESIĘCZNIK MAIL ARTU

Nr 4 (88) 29.IV.2x1000+7

ISSN 1732 - 0941



*Pierwszy dzień wiosny na wrocławskim Rynku.  
Czyżby z tej właśnie okazji policja masowo nawiedziła wegetariański bar VEGA?  
Fot.: Lele*

© COPY LEFT

**WYDAWANY JAKO DOWÓD NA ISTNIENIE  
PÓL SWOBODNEGO MYŚLENIA**

## Dziesiątka zatrzymanych po Radzie Europy (2005) przed sądem!

W najbliższy piątek, 27. kwietnia 2007 roku, o godz. 12.00, w sali 361 Sądu Rejonowego dla Warszawy Śródmieścia - V Wydział Karny przy ul. Marszałkowskiej 82 [wejście od ul. Żurawiej] odbędzie się główna rozprawa sądowa 10 osób zatrzymanych bezpośrednio po demonstracji, które 16. maja 2005 roku odbyła się w Warszawie w związku z mającym miejsce III Szczytem Rady Europy.

Dziesiątka aktywistów, którzy staną przed sądem, należy do grupy 11 osób, które zostały zatrzymane około godziny 21.00, przy al. Solidarności 66, na wysokości Placu Bankowego. Tuż po jej zamknięciu kordony uzbrojonej policji z oddziałów szturmowych prewencji zaczęły wycofywać się za spokojnie rozchodzącymi się do domów ludźmi. Nagle zaczęły na nich agresywnie napierać i spychać na chodnik. Wobec spokojnie zachowujących się ludzi użyto pałek. Przy Placu Bankowym policjanci rozdzielili ich kordonami na dwie grupy. Pierwszego zatrzymała niezależnego dziennikarza portalu „Indymedia”, który filmował kamerą przebieg demonstracji. Zaczęli legitymować przypadkowe osoby. Choć w świetle „Ustawy o Policji” z 1990 r. jest to ich obowiązkiem, agresywnie reagowali na wszelkie próby o podanie danych osobowych, numerów służbowych i podstawy prawnej spisywania. Do więźniarek doprowadzono lub zaciągnięto 11 przypadkowych osób. Po drodze na komisariat przy ul. Belwederskiej 19 policjanci lżyli je i obrażali. Miejszem dalszych przesłuchań stał się ustawiony w nim namiot polowy. Policjanci tłumili jakiegokolwiek opór zatrzymanych, szarpali ich, popychali na metalowe elementy samochodów i ściany, bili, podduszali. Grozili im i wyzywali. Jednym z dowiezionych na komisariat rzucili na stół.

Thukąc jego głową o blat, rozbili mu łuk brwiowy. Spokojnie zachowujące się osoby przykuto kajdankami do krzesel. Policjanci zmuszali je do obserwacji tortur współzatrzymanych. Agresywnie reagowali na wszelkie próby pomocy i solidarności. Zatrzymanych nie zapoznano z ich prawami: do odmowy podpisania protokołu przesłuchania, wody, pokarmu, dostępu do toalety i snu. Funkcjonariusze zmuszali ich do podpisywania fałszywych protokołów, a w konsekwencji odmowy - zwiększali ilość sfiogowanych zarzutów. (...)

10 zatrzymanych zwolniono 17. maja, ok. godz. 17.00, a dziennikarza „Indymediów”, któremu postawiono zarzut czynnej napaści na funkcjonariusza (czyn zagrożony karą do 10 lat pozbawienia wolności) - dopiero po 39 godzinach. W toku postępowania przygotowawczego jego sprawę umorzono. Jednakże 12. stycznia 2006 roku pozostałej dziesiątce zatrzymanych uczestników majowej demonstracji Sąd Rejonowy V Wydz. Karny dla Warszawy Śródmieścia doręczył akt oskarżenia. Zarzucono im popełnienie trzech typów przestępstw: 1. „naruszenie nietykalności cielesnej funkcjonariusza policji” (tj. czyn z art. 222 par. 1 KK; grozi za to kara do 3 lat pozbawienia wolności); 2. „próbę odwiedzenia policjanta od wykonywania czynności służbowych” (tj. czyn z art. 224 par. 2 KK, kara do 3 lat pozbawienia wolności); 3. „używanie wobec funkcjonariusza policji słów, powszechnie uznanych za obelżywe” (tj. czyn z art. 226 par 1 KK; kara do 1 roku pozbawienia wolności). (...)

Trzykrotnie umorzyła ona śledztwo przeciwko policjantom, których zatrzymana aktywistka oskarżyła o popełnienie przestępstwa polegającego na nieuzasadnionym użyciu środków przymusu bezpośredniego, poddaniu jej przemocy fizycznej i psychicznej oraz spowodowanie uszczerbku na zdrowiu. Jednak prokurator uznał, iż funkcjonariusze działali zgodnie z prawem. Oburzenie wzbudza również łapanka przypadkowych osób wracających z demonstracji, a także potwierdzone przez Fundację Helsińską, uwłaczające wszelkim standardom praw człowieka zachowanie policjantów wobec zatrzymanych.

PROSIMY O MEDIALNE NAGŁOŚNIENIE SPRAWY.

Anarchistyczny Czarny Krzyż-Warszawa  
 Kontakt: ack-wawa@o2.pl  
 Sygn. akt. VK 1662/05/MT

SĄD REJONOWY  
 dla WARSZAWY ŚRÓDMIEŚCIA  
 V WYDZIAŁ KARNY  
 ul. Marszałkowska 82  
 00-517 Warszawa  
 tel. (022) 553 93 71; fax: (022) 553 93 74

## WIEJSKA Z KLASĄ (niekiedy z czterema)

**I WANIE!**

Ja ziemu nic  
 nie mówił, a on  
 tyż mnie zdymisjował.  
 KURDE TO PRZEZ  
 WIEŚKA BO NA  
 WIECZORKU U SIACHA  
 MÓWIŁ KAWATY!  
 Ja ziem go  
 ostregat aleu  
 ziem też padł!

NORBERT



MICHAŁ GRACZYK



Annka i dziedziniec zamku  
w Branie. Fot.: autor

Zwiedzamy jeszcze rozłożony u podnóża zamku skansen wsi rumuńskiej i kierując się na Braszów, w sznureczku samochodów opuszczamy „Drakulowo”. Droga powrotna jest całkiem przyjemna. Ruch z racji niedzieli nie jest uciążliwy, chłoniemy widoki: raz sielskie pola, po chwili pagórki, strome zbocza i tak na przemian. Gdzieś po drodze zatrzymuje nas jeszcze profesjonalnie przeprowadzana kolumna krów, a raczej ich przewodnicy ubrani w odblaskowe kamizelki, machający czerwonymi „lizakami”, parę razy natknijemy się na jakąś starą, wysłużoną ciężarówkę, jakąś furmankę i załadowaną po dach Dację ... ale nic to; zgodnie z planem dojeżdżamy do Targu Mures wraz z pierwszą gwiazdą jaka pojawiła się na bezchmurnym niebie. (cdn.)

BARTŁOMIEJ ŚWIDEREK



## MYŚLI KARASIA, CZYLI KARAŚ MYŚLI

X X X

Jedni pilnują tego z czego żyją  
Drudzy żyją z tego czego pilnują

X X X

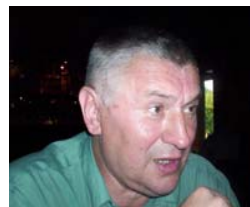
Lepiej zasnąć z panem  
Niż w Panu

### Samookłamywanie

Coś mi ciągle  
W brzuchu burczy  
Mówię sobie:  
Spokój, to niepokój twórczy

X X X

Filozofa od podrywacza  
Różni to czym ruszają



MARIAN KARAS

## Czuć w sobie ból innego człowieka. Levinasowska obsesja odpowiedzialności

Człowieczeństwo przejawia się w nieczystym sumieniu, w lęku o drugiego, śmiertelnego człowieka, jest ono natchnieniem przez innego, natchnieniem aż po ostatnie tchnienie.

Filozofia Levinasa znajduje się w drodze, jest filozofią krocząca a każdy kolejny krok wynika z poprzedniego, co powoduje niemożliwość zrozumienia najdojrzałego etapu jego myśli bez analizy etapów poprzednich, bez badania i oświetlania śladów. Levinas zmierzał do tajemnicy Dobra, zgłębiając po drodze cud czasu i niezwykłość relacji z drugim człowiekiem. Aby móc zrozumieć **Levinasowskie pojęcie Drugiego (Innego)** należy uświadomić sobie ewolucję jego koncepcji podmiotowości i relacji między podmiotowych.

Zarysowują się tu trzy etapy. **W pierwszym etapie** („Czas i to, co inne”) Levinas podkreśla wszechwładne i obezwładniające panowanie istnienia bezosobowego, anonimowego („il y a”). Z niego, jak z obojętnej tła, wyłania się podmiot, a czyni to poprzez identyfikację z własną egzystencją (moment hipostazy), poprzez bycie sobą, związanie z sobą i odpowiedzialność za siebie. Taki podmiot jest jednością z własnym istnieniem, jest „z sobą”, zamknięty w swej samotności i materialności. Drugi człowiek jest dla niego ocaleniem przed tragedią samotności, jest wyczekiwany, który ma nadejść w przyszłości.

**W drugim etapie** („Całość i nieskończoność”) Levinas wychodzi od bytu (odróżnionego od Heideggerowskiego bycia) i podkreśla, że identyczność ze sobą, opisana tu poprzez separację, dokonuje się przez całe życie człowieka, że podmiot (Ten Sam) staje się w ciągłym procesie identyfikacji. Mamy tutaj do czynienia z podmiotem „dla siebie”, z podmiotem posiadającym i używającym, dla którego inny człowiek, obecny w teraźniejszości, jest warunkiem własnego stawania się i identyfikacji. Od momentu nawiedzenia przez twarz Drugiego, podmiot staje się za niego odpowiedzialny.

**W trzecim etapie** („Inaczej niż być lub ponad istotą”) pojawia się u Levinasa pojęcie zastąpienia. Podmiot poza istotą i posiadaniem, podmiot jako „inny w ja”, powstaje poprzez pozbycie się swej identyczności, wyzbycie się wszystkiego, co swoje, powstaje dla drugiego człowieka. Jednak ten Drugi nie sprawuje już wobec niego funkcji pozytywnej, nie scala go ani nie ocala, nie warunkuje jego stawania się ani identyfikacji, lecz rozbija go (pozbawia całości), jest źródłem jego cierpienia i obsesji. Odpowiedzialność za niego stanowi zarazem o samej podmiotowości takiego cierpiącego podmiotu – w nieogarnionej przeszłości wybranego przez Dobro do dobroci.

Pojęcie i rola innego (drugiego) w kolejnych trzech stadiach Levinasowskiej filozofii, spleta się ściśle z rozwojem jego koncepcji podmiotowości.

Prototypem, czy wzorem relacji z innym człowiekiem jest dla Levinasa spotkanie z innością śmierci. Istnienie śmierci jest uczynione z inności a inność jest konieczna do wyjścia z samotności, z niewoli własnego bycia; jednak śmierć, rozwiązując tragedię samotności podmiotu, (czyli jego związanie z własnym byciem), unicestwia jego samego. Możliwością przekroczenia samotności bez utraty swojej podmiotowości, spotkania się z transcendencją i zarazem istnienia dalej, jest według Levinasa – i tej idei pozostaje on wierny aż do końca swej filozoficznej drogi – relacja (twarzą w twarz) z drugim człowiekiem (spotkanie twarzy). Wobec niego tak samo jak wobec śmierci podmiot nie może nic móc, jest niemocą, całkowitą biernością przyjmowania inności,

jednak (różnica między innością śmierci a innością drugiego człowieka tkwi w czasie) spotkanie z innością drugiego człowieka umożliwia relację z przyszłością, podczas gdy relacja z, otwierającą się jak przepaść, przyszłością śmierci nie jest możliwa (inność śmierci polega na radykalnej inności czasu: czas podmiotu nie jest czasem śmierci i na odwrót; co równałoby się stwierdzeniu, że dopóki my jesteśmy nie ma śmierci, a odkąd jest śmierć nie ma już nas).

Ten drugi człowiek to inny przyjęty przeze mnie (wzięty na siebie). Jego osobowa inność jest przyszłością, jest osadzona w inności czasu, poza terażniejszością świadomości. Jest on tym, kim ja nie jestem, jest kimś innym niż ja. Relacja z nim nie jest wzajemna. Levinas uważa, że wzajemność niszczy inność, dlatego twierdzi, że prawdziwa relacja międzyludzka (międzypodmiotowa) jest asymetryczna.

W pierwszym etapie filozofii Levinasa relacja z drugim urzeczywistnia się pod postacią relacji z kobiecością i z synem. Człowiek staje się bardziej człowiekiem, gdy wychyla się ku ich inności.

Ten drugi (inny) człowiek najpierw objawia się Levinasowi jako kobieta. Inność polega tu na różnicy między kobietą a mężczyzną, na rzeczywistości mnogiej. Kobiecość nie jest dla Levinasa poznawalna, jest nieprzewidywalną przyszłością, tajemnicą inności przejawiającą się we wstydzie, czyli w skrytości i mroku. Siłą kobiecości jest jej tajemnicza inność.

Jednak miłość erotyczna, mimo iż wymaga inności i ją podkreśla, choć burzy tragiczną samotność człowieka, niesie ze sobą, zdaniem Levinasa, zagrożenie możliwością fatalnego powrotu podmiotu do siebie samego, niebezpieczeństwo zapanowania jednej osoby nad drugą.

Rozwiązanie tragedii samotności i materialności, zwycięstwo nad śmiercią upatruje Levinas w fakcie ojcostwa. Uważa, że płodność otwiera nowy wymiar transcendencji i inności, w którym dokonuje się definitywne przekreślenie samotności podmiotu. Inność dziecka (syna) oddzielona jest od swego rodzica przepaścią czasu, relacja z nim nie dokonuje się w terażniejszości, czy równoczesności, jak w przypadku relacji erotycznej. W swoim dziecku człowiek jest innym (drugim) sobą. Jest to istnienie dwoiste, oswobodzone z przywiązania do siebie samego, wychylone ku tajemnicy przyszłości, bycie w sobie nowym, odnowienie się w innym człowieku, wybawienie przychodzące ze strony tego, co osobowo inne, a zarazem nieprzewidywalnie przyszłe.

W kolejnym etapie ten drugi człowiek przedstawia się jako Mistrz, Nauczyciel, Pan, a zarazem biblijny potrzebujący, przybysz, sierota i wdowa. Relacja z nim zaczyna się od spotkania z jego twarzą. Zdaniem Levinasa twarz - w której objawia się, czy rozbrłyska nieskończoność, która jest śladem Boga - odróżnia ludzi od rzeczy, stanowi o niepowtarzalnej identyczności człowieka, jest widocznym znakiem niewidocznej rzeczywistości. W nagości bezbronnej twarzy, w oczach poddanych przemocy obcego spojrzenia, Levinas odczytuje etyczny zakaz zabijania. Dostrzega w niej opór słabości, dwuznaczność oporu i pokusy. Fizyczne zabicie człowieka nie daje możliwości zdobycia czy opanowania jego twarzy. Można unicestwić twarz, ale nie można nią zawiązać. Zabitego człowieka nie sposób już osiągnąć nawet przemocą.

Inny człowiek mówi do mnie swoją twarzą, wyraża się, ukazuje się mówiąc sobie do mnie i prawda tej etycznej mowy sprzeciwia się mojej spontanicznej wolności. Dla Levinasa prawda spełnia się w rozmowie między ludźmi, w relacji międzypodmiotowej. Jej inicjatywa (tak samo jak inicjatywa relacji) wypływa jednak od drugiego człowieka – to on ostatecznie jest źródłem prawdy, to on chce ukazać mi siebie, zwracając do mnie swą mówiącą twarz i jego objawienie jest odwróceniem obiektywizującego poznania. Nie mogę (jako Ten Sam) posiadać prawdy w postaci dokładnej odpowiedniości, bo objawiający mi się drugi człowiek nieskończenie przewyższa tę ideę siebie, którą we mnie wzbudził. Prawda polega tutaj na etycznej przemianie człowieka, który nie pozwala byciu pozostać takim, jakim ono jest. (Taka prawda, jako więź między niezależnymi, odseparowanymi, samowystarczalnymi bytami, przybiera postać pragnienia). Inny człowiek przychodzi do mnie z zewnątrz i z wysokości, z wymiaru idealności, zwraca się do mnie ze swoim nauczającym, a wręcz nakazującym słowem, które ma mi uprzystępnąć zrozumienie świata. Jako mój Mistrz, sędzia czy też wzbudzający

## Na zamku u księcia (... ale czy na pewno?)

Położona jakieś dziesięć kilometrów za miastem, Poiana Brasov nie zachwycała nas zbyt. Ten modny ośrodek sportów zimowych, przypominający nieco nasz Szczyrk, oferuje w zasadzie jedynie piękne widoki, których nie brak podczas całej trasy z Braszowa. Kilka blokowatych ośrodków wypoczynkowych a la nasz rodzimy Gierek, jakieś budki z pamiątkami i niemilosierne drogie restauracje to chyba najbardziej charakterystyczne cechy tego miejsca. Po krótkim spacerze posilamy się więc w dość tłocznej restauracji, otoczonej modrzewiami, aby jak najszybciej móc kontynuować podróż do Branu. Droga jest wąska, kręta, po naszej prawej stronie strome, kamienne urwisko, z lewej jakiś potok – otwieramy więc okna i całymi pierściami oddychamy rześkim, górskim powietrzem. Trochę szkoda, że goni nas czas – okolica aż się prosi, żeby zatrzymać samochód, postawić go gdzieś na poboczu i zapuścić się w gęsty iglasty las. Tymczasem docieramy do drogi łączącej Brasom z Pitesti, która poprowadzi nas pod sam zamek Drakuli. Okolice stają się nieco bardziej płaska, choć ciągle widać karpackie szczyty. Tutaj człowiek czuje, że odpoczywa, że żyje, a wszystko przyziemne i nieprzyjemne wydaje się tak odległe, że aż nierealne. I tak w błogim nastroju, snując się powoli za kopającym jak parowóz Roburem (dla niewtajemniczonych – Robur to kultowy pojazd lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych produkcji nieistniejącej już NRD; tak brzydki, że od patrzenia na niego po prostu boją oczy), obsługującym linię autobusową Braszów-coś tam dalej, dojeżdżamy do Branu. Parkujemy wśród rozkrzyczanych kramów, z których każdy wydaje się oferować te same koszarne szklanki, kubki, koszulki i co tylko się da z podobizną hrabiego Drakuli, okraszone napisami w stylu „My friend from Romania is Dracula”.

We wsi odbywa się jakiś festyn – wszędzie pełno ludzi, wokół roznosi się zapach smażonych kielbasek, słychać jakieś trąbki, okrzyki i śpiewy. Przeciskamy się przez ciżbę i powoli dochodzimy do zamku w Branie. Przed główną bramą, do której prowadzi wąska aleja i schody, wylegają się właśnie dwa psy, którym nie przeszkadza kłębiący się wokół tłum. Kupujemy jeszcze bilety wstępu i wtapiając się w pokaźną grupę turystów-niemieckich emerytów, rozpoczynamy zwiedzanie.

Zamek w Branie ma w sobie coś bajkowego. Jego wysokie, strzeliste wieże, otoczone wysokim i grubym murem obronnym z pewnością pobudzały wyobraźnię nie tylko miejscowej ludności. Ale od początku .... Budowla powstała w 1212 roku, a wzniesli ją znani nam już dobrze Krzyżacy. Przez wieki brański zamek stanowił jedną z fortec granicznych, strzegących granicy Królestwa Węgier przed nadciągającymi Turkami. To tutaj, w piętnastym stuleciu, podczas zaciętych walk z Osmanami, dwie noce miał spędzić słynny Vlad Palownik, zwany Drakulą. Dzięki temu utarło się przekonanie, że ten włoski skądinąd gospodar, był władcą Transylwanii. Przekonanie, któremu solidnej podbudowy dodał irlandzki pisarz Bram Stoker, autor słynnego horroru pt. „Drakula”, który z księcia uczynił najsłynniejszego chyba wampira, siejącego postrach w całej Transylwanii ze swej siedziby właśnie na zamku w Branie. To on właśnie przyćmił innego lokatora braszowskiej fortecy, rumuńskiej królowej Marii, która z początkiem dwudziestego wieku zaadaptowała zamek na swoją rezydencję. Dziś wewnątrz zdobią elementy związane z Marią - meble, obrazy, kosztowności podziwiane przez turystów to autentyczne pamiątki po rumuńskiej monarchii.

Zwiedzamy zamek jak każdy inny tego rodzaju obiekt przygotowany z myślą o turystach. Podoba nam się, jest malowniczy, stylowy, czuje się „ducha czasów”, ale chyba w całej swej sławie i nastawieniu na turystów (to pierwszy obiekt w Siedmiogrodzie, gdzie musimy przeciskać się w tłumie) traci na swej autentyczności. Bran jest miejscem, które choćby z uwagi na dotyczące go legendy, odwiedzić należy. Można nawet zachwycić się zamkiem, ale cała „drakulowa” oprawa sprawia, że w rywalizacji nawet z mniej znanymi obiektami, jak cała rzesza kościołów warownych czy zamków, Bran przegrywa przez swój brak autentyzmu i kiczowatą otoczkę, jaką wokół niego stworzono. Zamek jest całkiem sympatyczny, przyjemny, ale jest to obiekt jakich wiele. Po prostu brak mu klimatu i atmosfery.



„Schwarze Kirche”. Fot. autor

„Schwarze Kirche” jest długi na 89 metrów i wysoki na 38, licząc od poziomu podłogi do szczytu dzwonnicy, której sercem jest największy w całej Rumunii, sześciotonowy dzwon. Wewnątrz kościoła podziwiać można kolekcję anatolijskich dywanów (od razu przypomina nam się Sighisoara), pamiątki po wozach miejscowych kupców oraz ogromne organy.

Plac kościelny jest niezbyt sporych rozmiarów, trudno więc objąć w kadrze cały kościół – rekompensujemy sobie to widokami poszczególnych elementów architektonicznych i zdobień portalu. Przeżywamy jednak rozczarowanie, kiedy okazuje się, że ten, jakby na to nie patrzeć, najciekawszy zabytek miasta, w niedzielę jest po prostu zamknięty na cztery spusty. Mieliśmy nadzieję na obejrzenie ciekawych wnętrz świątyni, a tymczasem będziemy musieli obejść się smakiem ...

Przeskakujemy więc w stronę rynku, gdzie w najlepsze trwa kiermasz, a z ustawionej sceny dobiegają swojskie dźwięki orkiestry dętej. To grają miejscowi Niemcy, o czym świadczy przypięty do rogu celta baner z herbem orkiestry i napisem „Burzenlaender Blachkappelle”. Wokół niezliczona ilość kramów z ceramiką, wyrobami z drewna, jakimiś haftami, fartuszkami i tym podobnymi specjalami rumuńskiego i węgierskiego, jak się okazuje, rekodziela.

Rynek, czyli Piata Sfatului, czy jak kto woli Marktplatz, to nieforemny plac otaczający ratusz, dawny budynek cechu kuźnierzy. Swoją obecną wykładkę zawdzięcza on gruntownej przebudowie, jaka miała miejsce w latach siedemdziesiątych osiemnastego stulecia. Wieża ratuszowa przez lata pełniła funkcję punktu obserwacyjnego i strażnicy, stąd jej nazwa „Wieża Trębaczy”.

Rozglądamy się wokół: za nami elegancka ulica Muresenilor z wieloma restauracjami, pubami i sklepami, po lewej ulica Republicii (Republicii), a po prawej, rozciągające się wokół Czarnego Kościoła Łacińskie Miasto. Ucinamy sobie krótki spacer ulicą Republicii, gdzie wypijamy jeszcze gorącą, czarną herbatę, zaopatrujemy się w miejscową chałwę (nie polecam - strasznie słodka o konsystencji gumy) i pstrykamy fotki do swojego albumu oraz jakimś zabląkanym Koreańczykom. Nacieszywszy się atmosferą miasta, postanawiamy wyruszyć do Branu, zaś po drodze zahaczyć jeszcze o słynny kurort Poiana Brasov. Przystanków jest jednak więcej, bo wspinając się krętą drogą w kierunku Poiany odkrywamy wspaniały punkt widokowy przy Białej Baszcie. Stąd jak na dłoni widać cały rozległy Braszów - odległe dzielnice-sypialnie, fabryki z dymiącymi niemiłosiernie kominami, a przede wszystkim stare miasto, z wyraźnie odróżniającym się Czarnym Kościołem. To przy Białej Baszcie, na swój być może naiwny i turystyczny sposób, szeregujemy siedmiogrodzkie miasta: secesyjna i dostojna Oradea; szalony, chaotyczny, trochę dekadentki, ale na pewno z rozmachem Cluj; cukierkowe i sympatyczne Targu Mures; trochę snobistyczne Sibiu i ciepły, piękny Braszów – miasto z klimatem.



Rys. Kateřina Mojsejová

szacunek Pan, jako stojący wyżej ode mnie a bliżej Boga, ma on być pomostem pomiędzy mną a światem. Słowo, które kieruje do mnie drugi człowiek ma być, zdaniem Levinasa, warunkiem zrozumiałości, sensowności tego świata. Ono, jako pierwsza prawda, jako słowo honoru ofiarowuje mi świat, powstrzymując moje wątplenie. Towarzyszy mu bowiem żywa obecność twarzy drugiego człowieka, jako gwarancja prawdomówności.

Obecność drugiego człowieka pozwala mi rozpoznać własną niedoskonałość i zdolność do morderstwa, do zbrodni. On kwestionuje, zawstydza, ogranicza moją egoistyczną wolność i budzi we mnie świadomość moralną. Zdaniem Levinasa, sumienie jest efektem spotkania z drugim człowiekiem, ukazuje się jako niemoc własnej mocy, jako negacja negacji, jako niemożliwość bezgranicznej wolności, oraz niemożliwość zabicia, zawładnięcia i posiadania jego mówiącej twarzy. Lękliwa troska o niego staje się motywacją do bycia dobrym. Zakaz skrzywdzenia go przemienia się w nakaz ofiarnej troski o niego w zapomnieniu o sobie i w zaprzepaszczeniu siebie.

Drugi człowiek rozliczając mnie z mojej wolności, uczy mnie wolności odpowiedzialnej, która nie może zamknąć się w sobie samej, bo nie wystarcza sobie samej, bo nie jest dla siebie, lecz jest wolnością coraz większego, nieskończonego kwestionowania siebie.

Levinas odrzuca wolność, pojętą jako spontaniczność ze względu na to, że jest ona zagrożeniem, możliwością zła i uznaje, że człowiek zaczyna szukać swej ostatecznej rzeczywistości, swej prawdziwej wolności od podporządkowania się nakazowi służby drugiemu człowiekowi. Ta przemiana wolności zaczyna się od zawstydzenia własną zdolnością do przemocy i do zbrodni (tym, że jej spontaniczność jest w stanie morderczo osiągnąć drugiego człowieka). Zdaniem Levinasa wolność nie jest naga (absolutna), lecz jest nadana przez drugiego człowieka i tylko on może ją usprawiedliwić. Levinasowska wolność jest odpowiedzialnością za drugiego człowieka.

Drugi człowiek wzywa mnie do odpowiedzi, do wyboru pomiędzy zamknięciem w swym egoizmie, a otwarciem się na jego inność, na jego skargę, na jego milczący krzyk. Ten moment decyzji jest chwilą wielkości i godności podmiotu jako wolnego bytu.

Drugi jest przeszkodą dla podmiotowego egoizmu (i wypływającej z niego bez troskłej wolności), uniemożliwia mu powrót do siebie. Jego naga twarz wzbudza w podmiocie pragnienie wspaniałomyślnego, bezinteresownego ofiarowania mu własnego bytu (wszystkiego, co sam posiada), do uczynienia daru z przedmiotu swego dotychczasowego używania. Levinas uważa, że w ten sposób człowiek zostaje niejako dany sobie samemu, realizuje siebie samego jako byt powołany do dobroci i odpowiedzialności, otrzymuje od drugiego człowieka sens, kierunek i cel własnego życia. (Mistrz dźwiga swego ucznia wzwyż, ku prawdziwemu człowieczeństwu, uczy go jego człowieczeństwa, nakazuje mu być człowiekiem). Odtąd odległość czasu, jaka mnie dzieli od śmierci może zostać wypełniona dobrocią i odpowiedzialnością wobec niego. To on poucza mnie o świecie, pokazuje mi, kim naprawdę jestem i wreszcie, na skutek apelu, z jakim zwraca się do mnie, sprawia, że ofiarowuję mu posiadany przez siebie świat. W naszej rozmowie świat staje się wzajemnym darem.

Pomiędzy mną a innym zachodzi istotowa **nierówność**. On jest wyżej niż ja, jest Mistrzem i Nauczycielem, w wyniku swej inności jest nieskończenie ode mnie oddalony, transcendentny. Aktem swojej wolności mogę jedynie odpowiedzieć na jego wezwanie i jego naukę, posłusznie przyjąć jego słowo, względnie je odrzucić. Moja wolność nie ustanawia, lecz słucha i ewentualnie jest posłuszna. Levinas chce ukazać dobroć wolności odpowiadającej na wezwanie, dobroć nieskrępowanej odpowiedzialności.

Jednak ten drugi, wyższy ode mnie, jest zarazem ode mnie niższy, słabszy (jest biblijnym potrzebującym, ubogim, przybyszem, sierotą i wdową). Jego inność polega na tym, że będąc ode mnie ważniejszym, jest zarazem ubogi i nagi, że potrzebuje nakarmienia i okrycia. Ukazuje mi się w całej swojej wielkości i w całej swojej nędzy. Jego wstrząsające spojrzenie, zakazując zabijać, wzywa mnie do dobroci, wymaga posłuszeństwa i zarazem prosi o pomoc. Jego prośba jest wymaganiem, jego bieda i nędza są jego bogactwem. Prosząc mnie o pomoc,

stylowymi willami i dziewiętnastowiecznymi kamienicami. Stąd już tylko parę kroków dzieli nas od rynku, gdzie właśnie odbywa się kiermasz, na którym okoliczni rzemieślnicy sprzedają swe wyroby. Zatrzymujemy się przy ratuszu i próbujemy ustalić jakiś harmonogram zwiedzania. Zaczynamy od małej czarnej w jednej z przytulnych knajpek i przyswojenia sobie podstawowych informacji o mieście.

Braszów powstał w roku 1235 jako *Corona*, aby już w 1288 roku pojawić się w dokumentach jako Brasso. W literaturze niemieckojęzycznej okreśłany mianem „Miasta na Wschodzie” faktycznie uważany był przez wieki za najbardziej na południowy wschód wysunięty bastion łacińskiej cywilizacji. Miejscowi rzemieślnicy sascy mocno ufortyfikowali Kronstadt (*niemiecka nazwa Braszowa*), wkomponowując w mury obronne baszty należące do poszczególnych cechów (do dziś czynne są dwie z nich). Centrum zaplanowano wokół rynku, z budynkiem ratusza, sąsiadującego z podobno największą gotycką katedrą w tej części Europy, słynnym Czarnym Kościołem. Miasto stało się z czasem głównym ośrodkiem handlu z księstwami Mołdawii i Wołoszczyzny. Sascy kupcy przy tym dość ochoczo korzystali z usług swych rumuńskich sąsiadów, co nie przeszkadzało im w pozbawieniu tychże jakichkolwiek praw.

Braszów rozwijał się intensywnie – bardzo szybko stał się jednym z ważniejszych ośrodków kulturalnych i gospodarczych Siedmiogrodu. Dane z roku 1910 wykazały 41 056 mieszkańców miasta, spośród których największą grupę stanowili Węgrzy (43,4%), zaraz za nimi uplasowali się Rumuni (28,7%) oraz Niemcy (26,4%). Wraz z zakończeniem pierwszej wojny światowej Braszów znalazł się w granicach Rumunii; wówczas też rozpoczął się intensywny proces industrializacji i romanizacji miasta. Dziś spośród blisko 290 tysięcy mieszkańców przytłaczającą większość stanowią Rumuni (90%), drugą co do liczebności grupą etniczną są Węgrzy (niecałe 9%), zaś Niemców pozostało około pół procenta. W okresie rządów komunistycznych, miasto stało się ważnym ośrodkiem przemysłowym – tutaj ulokowano między innymi fabrykę samochodów ROMAN oraz szereg kombinatów maszynowych. W latach 1950-1960 Braszowa na próżno było szukać na jakiegokolwiek mapie – miasto nazywało się bowiem Orasul Stalin (Miasto Stalina) i wzbogaciło kolekcję rozsianych po wszystkich chyba demoludach Stalingradów, Stalinogrodów, Stalinvarosów itp. W czołówkach światowych stacji informacyjnych Braszów pojawił się w 1987 roku, kiedy w mieście wybuchł strajk robotników, sprzeciwiających się podnoszeniu norm pracy przy jednoczesnym obniżeniu pensji i racji żywnościowych. O standardach obowiązujących w komunistycznej Rumunii kilka wzmianek pojawi się jednak nieco później.

My tymczasem wspinamy się do stacji kolejki linowej, która zabierze nas na dominujący nad miastem szczyt Tampa. Liczyliśmy na wspaniałą panoramę miasta, chcieliśmy zrobić kilka pocztówkowych zdjęć, gdy tymczasem okazało się, że wzgórze spowija gęsta jak mleko mgła. Stajemy więc jeszcze tylko za gigantycznymi literami, wciągniętymi na szczyt, składającymi się na nazwę miasta widoczną z rynku i szybko wracamy do wagonika, który zwiezie nas w dół. Rozpoczynamy zapoznanie się z uroczym Braszowem ...

## Burzenlaender Blachkappelle

Zanim dotrzemy do rynku, włączymy się rozkopanymi uliczkami starego Braszowa, chłonąc atmosferę sędziwego-odnawianego miasta. Chodzimy bez wyraźnego celu, chcemy po prostu jak najwięcej zobaczyć i zapamiętać – co chwila więc uwieczniamy kolejne budynki na naszym aparacie. Nie możemy odmówić sobie przyjemności spaceru po najwęższej ponoć uliczce Europy. Strada Sforii (*ul. Sznurowa*), bo to o niej mowa, mierzy sobie dokładnie 83 metry długości i 1,32 metra szerokości, a pochodzi z okresu, kiedy wokół miasta budowano fortyfikacje. Trudno w kilku słowach opisać atmosferę tego miejsca – gwar dochodzący ze znajdujących się przy ulicy mieszkań sprawia, że czujemy się jakbyśmy przechodzili przez czyjś przedpokój, albo zaraz mieli wejść do kuchni czy salonu jakiegoś znajomego. Trochę przypomina mi się słoweński Piran i sardyńskie Alghero, gdzie klucząc wąskimi uliczkami ma się niesamowitą okazję do zwiedzenia prywatnych podwórek i zapleczy cudzych domostw.

Po powszechnej spowiedzi kandydat klękał przed seniorem, który nakładał na jego głowę otwartą *Ewangelię*, a wszyscy „doskonali” kładli prawicę i odmawiali modlitwy w tym tekst „...Święty Ojczy, weź służę swego do swej sprawiedliwości i zeslij swą łaskę i Ducha Św. ...”.

Senior powtarzał 6 razy „Ojczy Nasz”, kończono obrzęd fragmentem *Ewangelii św. Jana* - pierwszych 17 wersów po łacinie.

W obliczu nagłej śmierci można było skrócić *consolamentum* i przyjąć kandydata do grona „doskonałych” bez okresu przygotowawczego. Podczas obrony Montségur, obrońcy niejednokrotnie umawiali się nawet, że jeśli w wyniku ran nie będą mogli udzielić przewidzianych odpowiedzi, to „doskonali” będą przyjmować, iż kandydaci w domyśle się zgadzają. W bardziej spokojnym czasie, *consolamentum* udzielano wierzącym w obliczu śmierci, oczywiście z pominięciem części modlitw. Pozwalało to na wybór między życiem „wierzącego” a „doskonałego”. Ci, którzy chcieli wieść życie głosząc nauki, zostawali „doskonałymi”, ci którzy woleli pozostać „wierzącymi” - przyjmowali *consolamentum* dopiero na łożu śmierci. W obu przypadkach katarzy wierzyli, że dostępują zbawienia.

Obok tych obrzędów katarzy przestrzegali trzech długich postów, od niedzieli przed Środą Popielcową do Wielkanocy, od Zielonych Świąt do św. Pawła i św. Piotra, trzeci post trwał od 23. XI do Bożego Narodzenia. Trudno coś więcej powiedzieć o święcie Bema, które obchodzono podczas wiosennego zrównania dnia z nocą. Prawdopodobnie było to stare święto manichejskie, zaadaptowane do potrzeb doktryny katarów, zwane też „świętem stołu”. Nie wiadomo dokładnie, jaką rolę odgrywały w nim ciała niebieskie - słońce, księżyc, gwiazdy. Dokładny przebieg tego święta nie jest znany. (cdn.)

## MARCIN J. WACIŃSKI



Annka i ratusz w Braszowie.

Fot.: autor

## Dzień dobry, Transylwania (5)

### Miasto na wschodzie

Na wizytę w Braszowie, jednym z największych miast Rumunii i z pewnością jednym z bardziej interesujących w Siedmiogrodzie, zarezerwowaliśmy sobie niedzielę. Nasz wybór padł na ten właśnie dzień tygodnia nieprzypadkowo – uznaliśmy, że niedziela oznaczać będzie mniejszy ruch na drogach, co pozwoli nam również na wypad do Branu, leżącej tuż za Braszowem wioski ze słynnym zamkiem Drakuli.

Pogoda tym razem nam dopisała, ruch na drogach faktycznie okazał się mniejszy, a co najważniejsze, mniej było tak powszechnych na rumuńskich trasach ciężkich tirów.

Braszów od samego początku wydał nam się miastem dostojnym. Zaparkowaliśmy na miejskich plantach, a dokładnie przy Parku Centralnym na Bulwarze Bohaterów (*B-dul Eroilor*), otoczonym

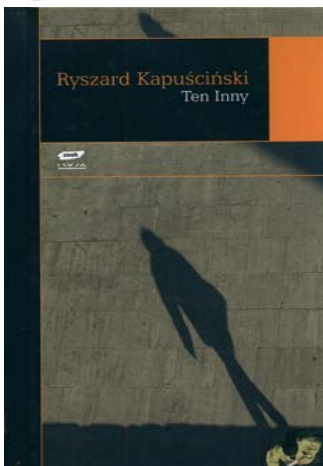
wyświadcza mi łaskę, daje mi szansę stania się pełnym człowiekiem. Odmawiając mu poniżyłbym samego siebie, zadałbym gwałt własnej dobroci, stanowiącej fundament człowieczeństwa – rosnącego w dawaniu.

W trzecim etapie filozofii Levinasa ten inny jest utożsamiony z prześladowanym, wykorzenionym, pozbawionym ojczyzny bliźnim. Jest on jednocześnie niechciany i upragniony, nieodparcie nawiedza podmiot i wstrząsa nim, zmuszając do nieobojetności, szkokuje, wzbudza poczucie niewybaczalnej niezawinionej winy, drażący wyrzut sumienia. Objawia się jako twarz, która zanika i przemija, nawiedza z nieskończonej przeszłości, jako ślad samej siebie (ślad nieskończoności). Odpowiedzialność za niego radykalizuje się aż do obsesji. Relacja z nim przybiera formę zastąpienia. W głębi siebie człowiek znajduje obsesję innego człowieka, którego nosi w sobie jeszcze zanim go spotka, zanim go zobaczy, któremu jest całkowicie ofiarowany, oddany (bez zatrzymania czegokolwiek dla siebie), od razu w nieskończonej przeszłości naznaczony, wybrany do odpowiedzialności za niego, od zawsze zawłaszczony przez Dobro. Przewaga przeszłości (ustanawiającej terażniejszość) powoduje zupełną niemoc podmiotu, jego całkowitą bierność. Jest on odkryty, otwarty, wystawiony na drugiego przez swoją podatność na zranienie i wstrząs, jest przez niego prześladowany, ujarzmiony i ponosi odpowiedzialność nawet za to prześladowanie (bierze odpowiedzialność za swego krzywdziciela), cierpi dla niego i przez niego, jest wezwany do postawienia się w jego miejsce, do przyjęcia, dźwignania jego cierpień i jego win, do odczuwania jego bólu. Twarz bliźniego, przemijająca, podległa śmierci, naga, odsłonięta, bezbronna, jest zarazem sędzią, przed którym trzeba odpowiedzieć, i stroną, za którą trzeba odpowiedzieć. Ta odpowiedzialność wzrasta w miarę jej podejmowania i spełniania. Istotą zmysłowego, podatnego na zranienie podmiotu jest pasja, bycie dla innego człowieka aż po męczeństwo i śmierć. Odnajduje on siebie wtedy, gdy siebie traci, gdy wbrew swojej woli oddaje siebie innemu. Podmiotowość zawiązuje się w umieraniu dla drugiego. Być człowiekiem to, dla Levinasa, wyjść poza swą subiektywność ku innemu podmiotowi, być zdolnym umrzeć za niego, zatracić w nim swoją tożsamość, stać się jego zastępcą, zakładnikiem. Levinasowski człowiek nie może uciec od własnej dobroci, od własnej zdolności poświęcenia siebie, spalania siebie w ofierze (zabicia siebie dla drugiego człowieka). Następuje tutaj całkowite wywyższenie drugiego, który ma ożywiać podmiot, nieustannie go niepokojąc, dotykając i raniąc. Podmiotowość staje się w konsekwencji psychozą, nawiedzeniem, opętaniem odpowiedzialnością za innego człowieka, Innym we mnie samym, innością w tożsamości, jednym za drugiego, nieustannym usuwaniem siebie, daniem, wydaniem siebie innemu, jest to podmiotowość zakładnika, ofiarowanego, cierpiącego sługi. Inny jest we mnie rozbiem, samooskarżeniem, wyrzutem sumienia, dręczącym świadomością aż do jej otwarcia i rozszczępienia. Ta obsesyjna odpowiedzialność jest podmiotowi nadana przed jego wolnością. Taki rozbity, pęknięty (wykorzeniony) podmiot staje się pustym miejscem, śladem tego, co zostało oddane drugiemu, śmiertelną raną po wyrwaniu swego ciała i swej duszy, ofiarowanych transcendencji, otwartą, bezbronną przestrzenią obłąkaną przez Boga, istnieje całkowicie dla innego i przez innego (tą absolutną innością Levinas odnosi także do Boga, który znaczy poprzez twarz drugiego człowieka, który nawiedza myśl i konkretyzuje się w odpowiedzialności za drugiego). Drugi człowiek jest natchnieniem jego podmiotowości, decyduje o sposobie urzeczywistniania się jego bytu, tkwi w nim jak cień, jak ziarno szaleństwa.

A więc drugi człowiek jest dla Levinasa najpierw ocaleniem przed samotnością, później szansą zbudowania człowieczeństwa, a następnie możliwością realizacji powołania do świętości, która spełnia się poprzez cierpienie.

ANNA KAMIŃSKA





## INNI TO MY

Można by rzec, że kwintesencją podróży po Azji, Afryce i Ameryce Łacińskiej Ryszarda Kapuścińskiego są nie tyle majstersztyki reporterskie, co cykl wykładów, wygłaszanych między innymi w Wiedniu, a poświęconych Innemu. Autor „Cesarza”, stykając się w swej pracy dziennikarskiej z nie-Europejczykami oddaje im poniekąd swój hołd. Podkreśla po pierwsze współdziałanie przy powstawaniu książek. Po drugie stara się przybliżyć problematykę Innego, starając się przedstawić go nawet, rzekłabym, jako swojego. Sam, pisząc o Innym, próbował go najpierw zrozumieć. Żyć tak jak on, dotknąć tej samej rzeczywistości - czy to mieszkańców wioski indiańskiej w Boliwii czy koczowników na Saharze. Swe rozważania rozszerza na przykład o myśl takich antropologów jak Bronisław Malinowski czy Emmanuel Lévinas. Inny jest nam potrzebny. Dzięki niemu lepiej widzimy siebie.

Inie ten Inny, na którego patrzymy przez pryzmat koloru skóry, narodowości czy religii, a znacznie szerzej. Warto powtórzyć za autorem: w postmodernistycznym szumie, w pomieszaniu języków bezcenny jest **głos mocny i wyrazisty**, podnoszący takie wartości jak tożsamość, szacunek, dostrzeżenie i poważanie drugiego – Innego. Jest to tym istotniejsze, im silniejsza staje się „inwazja” zarobkowa, demograficzna przedstawicieli Trzeciego Świata na kraje rozwinięte. Ujmując lapidarnie - wykłady, a szerzej aktywność artystyczna Ryszarda Kapuścińskiego ma służyć niwelowaniu obcości, wrogości, zagrożenia i śmiertelnego zła, jakie w Innym łatwo dostrzec, poddając się uprzedzeniom i stereotypom.

**AGNIESZKA BRYTAN**

Ryszard Kapuściński, *Ten Inny*, Wyd. Znak, Kraków 2006



## IMPERIUM REPORTERA

Każdy, choć może się do tego nie przyznawać, ma swego mistrza. Czasem zresztą posiada go podświadomie, ewentualne sukcesy przypisując wyłącznie sobie. Świadomość „pochodzenia”, rodowodu własnego rzemiosła, pozwalają szybciej dotrzeć do sedna. Dla reportera lub reportażysty (to dwa różne zawody) owym sednem jest umiejętność jednoczesnej podróży poprzez miejsca – ale jednocześnie poprzez historię danej kultury czy regionu i zwłaszcza - poprzez ludzi.

Kto nie **uczestniczy** w opisywanej potem codzienności, jest jedynie, mówiąc językiem Zygmunta Baumana, jedynie „turystą”. Nie innym, a **obcym**. Obcym, którym nigdy nie chciał być Ryszard Kapuściński, bez względu na to, gdzie akurat przebywał.

herezji diecezja Tuluzy posiadała ponoć ok. 50 diakonów. Ci z nich, którym powierzono konkretne katarskie gminy, pełnili w nich funkcje swego rodzaju pastorów, dbających o porządek i materialny dostatek. Na początku używali nawet specjalnych czarnych szat, przepaski i woreczka na *Ewangelię*. Później z powodu represji i działania inkwizycji zrezygnowali z tego wyznacznika i poruszali się w strojach nie wyróżniających ich od innych. W miarę narastania prześladowań pojawiły się ośrodki i miejsca, gdzie doskonali mogli znajdować schronienie. Zwykle były to domy w miastach, подарowane przez jakiegoś bogatego zwolennika herezji, a poza nimi dwory znaczących langwedockich rycerzy i wielmożów. Spotkania i obrzędy był niejednokrotnie odbywane pod gołym niebem, w domach i na zamkach sympatyków herezji, właściwie dopiero w okresie schyłkowym pojawiają się dwa ośrodki kultu, które można porównać do świątyni chrześcijańskich - Montségur i kaplica w zamku Queribus. Dlatego w przypadku kataryzmu poza tymi dwoma wyjątkami, nie można mówić o istnieniu jakiegokolwiek związanej z nimi architektury sakralnej.

Istotną rolę wśród Katarów odgrywały obrzędy. Pokróćce spróbuję je omówić.

Były to:

*Appareliamentum*: - uczta z łamaniem chleba i błogosławieństwem, odbywająca się raz w miesiącu, połączona ze spowiedzią powszechną i nauka głoszoną przez któregoś z doskonałych;

*Convinenza* - przyjęcie do wspólnoty katarów;

*Melioramentum* - błogosławieństwo i swoiste wyznanie wiary;

*Servitium* - spowiedź powszechna;

*Consolamentum* - połączenie chrztu, bierzmowania i święceń kapłańskich.

Wszystkie powyższe rytury wywodzą się mniej lub bardziej z wczesnego okresu istnienia Kościoła. Rytualna uczta katarów bardzo przypomina wczesnochrześcijańską ucztę komunijną. Pocałunek pokoju kończył tak ceremonie wczesnych chrześcijan jak i katarów (przekażcie sobie znak pokoju) Okres próby, poprzedzający uroczyste przyjęcie do wspólnoty, czyli *Convinenza* bardzo przypomina okres próby dla katechumenów w wczesnym Kościele.

W formułach wypowiedzianych uroczystych zwrotów katarzy szczególnie akcentowali to, co dotyczyło nie przywiązywania wagi do spraw tego świata – „...nie miej litości dla ciała zrodzonego w zepsuciu, lecz miej litość dla ducha trzymanego w zamknięciu...” i niezależności od wszelkiej - zwierzchniej szczególnie - kościelnej władzy – „...że gdziekolwiek jest Kościół, tam także jest Bóg...”. Odrzucenie tego świata znajdowało wyraz także w modlitwie „Ojcie Nasz”, gdzie słowa: „...chleba naszego powszedniego...” zastępowano zdaniem „...chleba naszego duchowego...”.

Innym przykładem odrzucenia zależności od Kościoła Rzymskiego – jak go wtedy określano, był obrzęd *Consolamentum*. Sam termin „consolamentum” lub „consolament” czyli „pocieszenie” w języku okcytańskim nawiązywał do zesłania Ducha Św. Najczęściej określano go „chrztem duchowym” lub „chrztem duchowym Jezusa Chrystusa”. Było to nawiązanie do nałożenia rąk przez Jezusa, gdy uzdrowiał chorych i słów z *Ewangeli* św. Mateusza „...Zapewne ja chrzczę wodą, lecz ten, który po mnie powinien przyjść jest mocniejszy ode mnie [...] On was ochrzci Duchem Św. i ogniem...”. Apostołowie łączyli gest nałożenia rąk z przekazaniem Ducha Św. Obrzęd *Consolamentum* poprzedzał długi okres przygotowania z kończącym go okresem postu o chlebie i wodzie minimum przez dwa tygodnie. Ci, którzy mieli doń przystąpić, powoli przechodzili na dietę beźmięsną, ćwiczyli cnoty prawdomówności, sprawiedliwości, wstrzemięźliwości i odwagi.

Od kandydata na „doskonałego”, tytułowanego rytualnym imieniem Piotr w dialogu poprzedzającym samą czynność, żądano wyrzeczenia się Kościoła Rzymskiego, krzyża, oleju i krzyżma używanego podczas sakramentów, udzielanych przez Kościół Katolicki. Podczas tego obrzędu senior wygłaszał homilię, podkreślając że chrzest Chrystusa był chrztem z Ducha Św., nakazywał zachowanie wszystkich przykazań Chrystusa, często cytowano fragment *Ewangeli*: „...jeśli się kto nie narodzi z wody i z Ducha, nie może wejść do Królestwa Bożego...”.

Jeden z doskonałych biorących udział w obrzędzie spełniał rolę jakby ojca chrzestnego.

zaś tym do czego powinno się dążyć, jest Bóg i świat niebiański. Wierzyli oni w wieczną walkę Dobra i Zła, skrajni dualiści reprezentowani przez gminę w Desenzano wierzyli, iż wojna będzie toczyć się zawsze.

Umiarkowani – których przedstawicielem była gmina w Concorezzo - że Bóg, Zasada Dobra – odniesie w końcu zwycięstwo. Pomiedzy Bogiem a światem widzialnym jest cała sekwencja eonów - czyli emanacji Boga, bytów wypełnionych boskością. Trudno jednoznacznie określić, jak katarzy pojmowali Jezusa i jego ofiarę. Jego rola była w katolicyzmie inna niż w katolicyzmie rzymskim. Jezus nie był równy Ojcu, był za to pierwszym ze stworzonych przez Boga aniołów. Został nazwany Synem Bożym, bo nie został w najmniejszym stopniu skażonym złem czy niebytem i powołany przede wszystkim po to, by dać przykład, by nauczać o Bogu. Chrystus wyjawiał ludziom prawdę, że Bóg, którego do tej pory czcili jest tylko demonem. Według katarów objawienie tej prawdy w świecie, w którym jest totalne przemieszanie pierwiastków Dobra i Zła, zyskuje dodatkowe znaczenie. W świecie oddanym demonowi, skazanym na błąd, kłamstwo i śmierć, trzeba było, by pierwszy spośród aniołów przybył i pokazał ludziom drogę prawdy oraz nauczył sposobu wymknięcia się śmierci. Trudno jednoznacznie określić, jak katarzy rozumieli ofiarę Jezusa, prawdopodobnie jedni wierzyli, że jego ofiara była symboliczna. Niektórzy uważali, iż był tylko człowiekiem, nauczycielem. Niestety większość tekstów została zagubiona, bądź zniszczona w wyniku prześladowań i dziś trudno jednoznacznie odpowiedzieć na te zawile kwestie. Duży nacisk kładziono na zachowanie nauk Jezusa: wyrzeczenie się stosowania przemocy, obowiązek odpłacania dobrem za zło, którego się doświadczyło, prostotę, dobroć, bezinteresowność. Dodawało to jeszcze atrakcyjności wierze katarów. Kontrast pomiędzy stosowaniem tych nauk w praktyce przez „Dobrych Ludzi” a zachowaniem i praktyką życia katolickiego kleru, były najlepszym bodźcem rozwoju kataryzmu. Brak tego przykładu życia, zgodnego z zasadami Ewangelii, był powodem niejednej ostrej krytyki, wysuwanej m. in. przez św. Bernarda wobec księży i duchownych w tym czasie.

Katarzy nie wierzyli ani w Piekło ani w Czyściec, uważali, że dusze ludzkie przechodzą piekło już tu na ziemi, szczególnie wtedy, gdy muszą po śmierci wcielać się jeszcze raz w kolejne ciało. Nie wiadomo dokładnie, jak wyglądały ich poglądy na reinkarnację, według części katarów zbawienie, pojmowane jako możliwość zjednoczenia z Bogiem, było możliwe jeśli człowiek nie będzie żył zbyt cielesnie. Oznacza to, że będzie unikał nadmiernego zaspokajania swoich potrzeb naturalnych, jeśli bowiem będzie żył tak jak większość, to po śmierci dusza będzie musiała przyjąć jeszcze raz jakieś ciało materialne. Katarzy zwracali zatem baczną uwagę na zwierzęta, bo mogły w nich pokutować dusze, według różnych badaczy tę troskę odnaleźć potem można u św. Franciszka.

Katarzy wykorzystywali niektóre księgi *Pisma Św. Ze Starego Testamentu: Księgi Salomona, Proroków, Psalmów*, i cały *Nowy Testament*. Dużą rolę zajmował u nich *Ewangelia wg. św. Jana*, której 17 pierwszych wersów recytowano podczas obrzędu *Consolamentum*. Prawdopodobnie „doskonali” uczyli się jej okcytańskiego przekładu na pamięć.

Pomimo rozdrobnienia na gminy, posiadali oni hierarchię duchownych. Nazywano ich „doskonałymi” - *parfraits*, w odróżnieniu od pozostałych zwanych „wierzącymi” - *croyantes*. Funkcję tę pełnili mężczyźni i kobiety. Zajmowali oni jednak pozycję zdecydowanie wyższą niż kapłani w Kościele katolickim. Wierzo bowiem, że „doskonali” są wypełnieni Duchem Św. Czyli są w pewnym stopniu samym Bogiem. „Doskonały” nie miał domu, albo żył z podobnymi sobie we wspólnocie, która często zmieniała miejsce pobytu w obawie przed prześladowaniami, albo wędrował głosząc kazania i udzielając *Consolamentum* wierzącym. Każdy „doskonały” miał przy sobie jednego „wierzącego”, który przygotowywał posiłki, zdobywał pieniądze, jednocześnie pomagał w wykonywaniu posług i sam przygotowywał się do bycia „doskonałym”.

Tak jak w Kościele katolickim istniały u katarów diecezje z biskupami, których nazywano - *filium maiorem* i diakonami - *filium minorem*. Funkcję tę mogły też sprawować kobiety. Biskupi byli wybierani spośród „doskonałych”, wyróżniających się szczególnymi zaletami i predyspozycjami. W czasie największego rozkwitu

\*\*\*

Dzisiejsze dziennikarstwo to rejestrowanie pośpiechu – w taki sam: szybki i migawkowy sposób. Najlepiej ów pęd ponowoczesnego świata oddają media wizualne. Nie ma w nich czasu na refleksję, niekiedy tylko stop-klatka czy dłuższy najazd kamery pozwolą wrażliwшему odbiorcy zrozumieć intencje autora przekazu. Dziennikarstwo prasowe przeżywa kryzys. A jednak są wśród dziennikarzy i tacy, którzy potrafią przykuć uwagę opinii publicznej nie jednego, a wielu krajów.

Kapuściński nie był moim **bezpośrednim** mistrzem. Tę rolę spełnił, najlepiej jak umiał, zmarły w grudniu 2002 roku red. **Kajetan Wojtyśiak**, z wykształcenia socjolog, przyjaciel Adama Michnika, choć lansujący całkiem inny model dziennikarstwa. O ile Michnik, oficjalnie przynajmniej, nauczał dziennikarzy „GW” pisania obiektywnego, wypranego z emocji i ocen moralnych, Kajetan nie bał się znacznie trudniejszej drogi – prezentowania zjawisk, sytuacji czy „reprezentatywnych próbek” szerszych procesów społecznych poprzez pryzmat wiedzy, doświadczeń i skali wartości, posiadanej przez autora danego tekstu. Takie podejście premiował u młodych, tak pisał samemu - nie ukrywając nigdy, że wzorami są mu Ryszard Kapuściński i Józef Kuśmierz. Stałą współpracę autora „Imperium” z „GW” uważał zresztą za wynikającą bardziej ze światopoglądów Michnika i Kapuścińskiego, światopoglądów czułych na krzywdę społeczną i zamordyzm wszelkich totalitaryzmów, niż ze wspólnego myślenia o sztuce dziennikarskiej. Ta bowiem w znakomity sposób obu panów – różniła.

Polski reportażysta uchodził w świecie za typowego nomadę, człowieka, który przemieszcza się - bo musi... Ale „mus” bywa różny. Toż swoje kilkudziesięcioletnie wędrowanie rozpoczął Ryszard Kapuściński od pożegnania z rodzinnym Pińskiem, pożegnania wymuszonego przez agresję ZSRR na Polskę w roku 1939. I zawsze już bliski był mu los milionów uchodźców, których w świecie wciąż przybywa: w Azji, Afryce, ba – Europie, bo wszak kończy się ona na południo-wschodzie górami Kaukazu, ojczyzną chociażby Czeczenów.

Nim rozpoczął wojaże na skalę międzynarodową, poznał dobrze Polskę, w jej granicach po roku 1945. Rodzime doświadczenia, zebrane w tomie „Busz po polsku”, były akurat pierwszym moim zetknięciem się z fenomenem pisarstwa Kapuścińskiego.

Chyba mniej mnie poruszyły (i tak już zostało) jego reportaże z Ameryki Łacińskiej. Brakuje mi w nich czegoś nieuchwytnego, co pojawiło się w „Cesarzu”, a z wielką siłą wybuchło w „Hebanie”. Owym czymś zdaje się być ukazanie skomplikowanych i często niezrozumiałych dla kultury Śródziemnomorza problemów społecznych w drodze, rozpiętej pomiędzy wiedzą o regionie a miłością do jej mieszkańców. Jakby wcześniej jeszcze wstydził się owego wielce emocjonalnego stosunku do ludności Czarnego Kontynentu... Nabytego zresztą poprzez lata afrykańskich wędrówek, często pod ostrzałem, bo taki tam wymuszony przez Panią Historię styl życia. Albo umierania, jak kto woli. To dzięki reportażom Ryszarda Kapuścińskiego jego czytelnicy zaczęli postrzegać Afrykę, jako miejsce, gdzie uzbrojone w pepesze (najczęściej Made in China) głodne nastoletnie dzieci walczą na śmierć i życie z innymi uzbrojonymi i głodnymi dziećmi. Walczą **one**, bo ojcowie już zginęli, prowadząc bezsensowne wojny w imię absolutnie nie swoich interesów. Takiego Czarnego Łądu „cywilizowany świat” wcześniej nie znał... Nikt nie kwapił się z pokazaniem **tej** strony wokół-równikowej codzienności. Bo z „Hebanu” wyciera straszliwa prawda – rzezie **nie zdarzają się** tam, a są na porządku dziennym. Niewygodnym dla światowej opinii, gdyż **w zasadzie** wymagającym „cywilizowanej” interwencji. Nie desantów i bomb – pomocy logistycznej i finansowej. Budowy dróg, wokół których koncentruje się życie, wodociągów, szpitali z prawdziwego zdarzenia, nawet szkół... A to kosztuje. Kto z Europejczyków czy mieszkańców obu Ameryk chce pamiętać o bezwzględnej eksploatacji surowców i „zasobów ludzkich” Afryki? Kto rozumie, ile krwi przelano tam, próbując nadać granicom sens bardziej etniczny. Te, wytyczone przez kolonizatorów, nie liczyły się z niczym. Rysowano je „pod liniijkę”, ignorując miejscowe realia. Z „dzikimi” się przecież nie dyskutowało.

Czarny Kontynent do dziś płaci daninę łez za lata niewoli. A im mniejsza tam stabilizacja, tym łatwiej manipulować marionetkowymi rządami przy pomocy dolarów czy funtów. „Świat” nie chce spokoju w Afryce, ład i rządy prawa ograniczyłyby dochody globalnych koncernów. O tym wszystkim pisze Kapuściński w „Hebanie” już wprost, w znacznie wcześniejszym „Cesarzu” ubierając jeszcze problem w szaty alegorycznej przypowieści. Autor „Chrystusa z karabinem na ramieniu” uzupełnił te **literackie** przesłania albumem **fotograficznym** „Z Afryki” w roku 2000. Zdjęcia doń powstawały na przestrzeni ok. 40 lat!

Inną przykrą prawdę mogliśmy znaleźć w „Szachinszachu”. Na przykładzie wydarzeń w Iranie ukazywał pisarz mechanizm, jaki uważał za stały dla wszystkich rewolucji, nie tylko islamskich. Najpierw jest tedy zły władca, uciskający swój lud. Pierwsze przejawy buntu tyran zazwyczaj likwiduje, wobec naporu mas rejeruje jednak, o ile się da - zabierając państwową kasę. Ci, którzy wygrali, są jak dzieci. Burzą pomniki, otwierają więzienia. Ale przychodzi im przejąć władzę. I wszystkie owej władzy obowiązki. Było ciężko, gdy opada rewolucyjna wrzawa – jest jeszcze gorzej. Urzędnicy uciekli lub zostali zamordowani. W bankach puste konta. Wojsko, wypuszczone z koszar, plądruje kraj. Rośnie głód i niezadowolenie. I wówczas wczorajsi wrogowie tyranii sięgają po kodeksy prawne obalonego reżimu. Nieco je modyfikują, ale prawo pozostaje sobą. Pierwsze wyroki, pierwsze egzekucje. **Nowe się utrwala...** Za ileś lat, gdy cierpliwość społeczna do cna wyparuje, kolejni spiskowcy przegnąją kolejnego władcę. Jaką by przybrał formę – komitetu rewolucyjnego, rady islamskiej czy „ukochanego ojca narodu” – zaakceptuje korupcję, obsadzi stołki swoimi, nie nakarmi wszystkich potrzebujących. To musi być straszne uczucie – oglądać wiwatujący na cześć ajatollaha Chomeiniego tłum... i znać krótkotrwałość tej radości.

Kapuściński kochał niewielkie społeczności, ale zawsze intrygowały go te najstarsze i największe. India, Chiny i... Rosja. Miał pisać kolejną po „Cesarzu” i „Szachinszachu” przypowieść o władzy – tym razem o bokserze, który mianował się generałem: ugandyjskim kacyku Idi Aminie. Zamiast niej powstało „Imperium” – książka o rozpadzie Związku Radzieckiego, pełna pytań (opisywany przełom kończy autor rejestrować w roku 1993), ale też nadziei. „A jednak przyszłość rysuje się dla tego kraju optymistycznie. Wielkie społeczeństwa mają wielką siłę wewnętrzną. (...) To ogólne prawo rozwoju ludzkości odnosi się z pewnością i do Rosji.

I jeszcze jedno: Zachód, który Rosja fascynuje, ale i napawa lękiem, gotów jest zawsze przyjść jej z pomocą, choćby w interesie własnego spokoju. Zachód odmówi innym, ale Rosji pomoże zawsze.”

Mniej w „Imperium” pewnych ocen, bo i kraj nieobliczalny. Nic dziwnego, iż po cytowanym **pozornym** zakończeniu tomu – pojawia się **właściwe**, fragment „Wojny i pokoju” Lwa Tolstoja. W księżycową noc trojka Mikołaja pędzi przez śnieżne pola: „Zachar krzyczy, żebym wziął na lewo; a dlaczego na lewo? - pomyślał Mikołaj. – Czyż jedziemy do Mielukowów?”

Jedziemy Bóg wie dokąd i Bóg wie, co się z nami dzieje!”

Jaki kurs obierze Federacja Rosyjska i dlaczego ten, nie inny – również trudno było przewidzieć za prezydentury Borysa Jelcyna, co dziś. Na tym, być może, polega wielkość rosyjskich polityków – potrafią zaskoczyć wszystkich. Nawet... własny naród. A raczej mnogość nacji, kipiący wciąż tygiel sprzecznych dążeń i niezaspokojonych „mieczy”.

Ostatnie książki Kapuścińskiego – zbiory: wywiadów „Autoportret reportera” i wykładów wiedeńskich, zatytułowanych „Ten Inny” - wcale nie miały być *codą*. Poprzedzone świetnymi „Podróżami z Herodotem”, gdzie staje się autor historiozofem bardziej, niżli opisywaczem świata, pozwoliły na chwilę oddechu. Planował książki o rodzinnym Pińsku i kolejną, dotyczącą Ameryki Łacińskiej. W jakiejś formie z pewnością obie prace zdążyły zaistnieć.



Październik 2006. Przemysław Leniak i Vanda Zakrzewska (już niemal w drodze powrotnej do Chin).  
Fot.: Lele

przeciwko działaniom Urzędu Miasta i spółki „Arkady”, mającym na celu uzyskanie pokretną drogą pozwolenia na wybudowanie w centrum miasta olbrzymiego sklepu i dezorganizację komunikacji w mieście, co dokonać się ma kosztem mieszkańców i powiązane jest dodatkowo z szarganiem miejscem spoczynku ludzkich prochów – Pomnikiem Ofiar Getta.

Mam głęboką nadzieję, że Pan Prezydent nie dopuści do takiej afery, jeśli jednak sprawa wygląda inaczej niż wynikałoby z informacji prasowych, to mam nadzieję, iż korzyści dla miasta i jego mieszkańców (myślę tu nie tylko o urzędnikach) będą równie wielkie, jak powstały o 50 metrów od Starówki ogromny sklep. Mam również nadzieję, że Pan Prezydent zamierza szeroko i dogłębnie powiadomić mieszkańców miasta o szczegółach owej wielce bulwersującej inwestycji.

PRZEMYSŁAW LENIAK  
leniak@op.pl



## Kataryzm (2)

### Główne założenia religii katarów

Katarzy nie stworzyli nigdy ścisłego wyznania wiary, nie istniał jeden Kościół, ze ściśle określoną doktryną. Według jednego z inkwizytorów, było tyle kataryzmów - ilu katarów-wyznawców. Właściwie każda gmina miała własne wyznanie wiary, niejednokrotnie prowadzono dysputy i rozważania co do różnych zagadnień wiary. Katarzy uważali się za chrześcijan, nazywano ich często „Dobrymi Ludźmi”.

Jako przykład niech posłuży początek wyznania wiary katarów florentyńskich – „Na początku istniały odwieczne Światło i Ciemność. Od zasady Dobra pochodzi wszystko, co jest Światłem i Duchem, od zasady Zła pochodzi wszystko co jest Materią i Ciemnością...” Katarzy generalnie uważali, że świat jest zły, bo został stworzony przez demona – Szatana,

Obiecywałem osobiście w „Ulicy...” nr 12 (84), iż nowy prezydent m. Lublina, prof. Adam Wasilewski otrzymuje od redakcji roczne moratorium. **Przemek Leniak** jednak do „uliczników” nie należy, choć na orbicie różnych zdarzeń i redakcyjnych rozmów pozostaje. Protest wystosował, gdzie tylko mógł. A przecież kolegi w potrzebie (zwłaszcza bezczelnie rugowanego przez adminów z forum „GW”) opuścić nie możemy...

LELE

**Do: Adam Jerzy Wasilewski**  
**Prezydent Miasta Lublina**

Gazeta Wyborcza, Lublin

plac WŁADYSŁAWA ŁOKIETKA 1

pok. 25

20-109 Lublin

(81)443-51-96

## Protest przeciwko marketowi w centrum miasta i dezorganizacji komunikacyjnej

Przerazenie i zgrozę budzi postępowanie Urzędu Miejskiego wobec spółki „Arkady”, mającej zgodnie z informacjami „Gazety Wyborczej” zamiar dokonać zmian w podpisanej i obowiązującej umowie, dotyczącej zagospodarowania terenu wokół placu Ofiar Getta.

Powiększenie przestrzeni handlowej z 4 tys. m. kw. do 10 tys. m. kw. oznacza prawdopodobnie budowę w centrum miasta dużego supermarketu – te dodatkowe 6 tys. m. kw. to obszar, na którym zmieści się zarówno „Champion” jak i sporo obiektów firm „Tesco” czy „Leclerc”. Jak sądzę, cena ziemi pod budowę hipermarketu jest zupełnie inna, niż pod budowę niewielkiej galerii handlowej - inna jest również uciążliwość takiego obiektu, że wspomnę choćby dostawy towaru tirami do marketu, a jednocześnie właściciel takiego obiektu nabywa również zupełnie inny majątek i oczekuje innych zysków.

Uzyskanie pozwolenia na wybudowanie tak wielkiego sklepu w samym centrum miasta jest po prostu olbrzymim przekreśleniem, szczególnie zaś w taki sposób.

Niezależnie od tego należy przypomnieć, iż ze spółką „Arkady” są od samego początku problemy, wielokrotnie opisywane w prasie. Wymieniając tylko hasłowo: przetarg zakwestionowany przez RIO w wyniku kontroli – o której to kontroli nie ma informacji w BiP UM, gdzie być powinna, żądanie usunięcia pomnika Ofiar Getta – który podobno ma teraz nie powrócić na swoje miejsce, wreszcie afera po prostu sprawa zmiany organizacji ruchu w centrum. Ta ostatnia sprawa pokazuje wyraźnie grozę sytuacji: zgodnie z wypowiedziami prezesa „Arkad” dla prasy, to spółka będąca zainteresowana zmianą reorganizacji ruchu podobno przeprowadziła badania natężenia ruchu, na podstawie których następnie Urząd Miasta „zażądał” od owej spółki zmiany organizacji ruchu.

Wprowadzenie ruchu trolejbusowego na ulicę Świętoduską, gdzie ma być zlokalizowany również wjazd na podziemny parking o pojemności 1300 miejsc, przy jednoczesnym braku przebudowy tej ulicy, spowoduje zator komunikacyjny. Stanie się tak dlatego, że nawet obecnie kiedy ulicą ta odbywa się jednokierunkowy ruch samochodów osobowych i autobusów - jest ona mało drożna. Obecny układ komunikacyjny spełnia swoje zadanie i choć z pewnością można by go usprawnić, to na pewno nie należy go pogarszać.

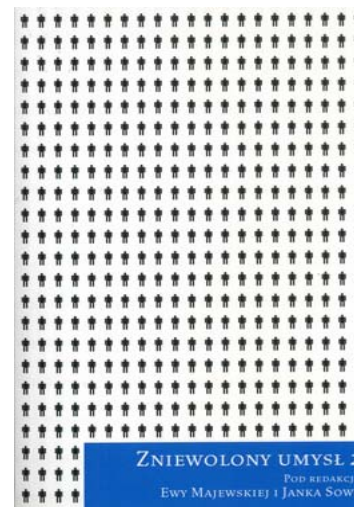
\*\*\*

Nagrody Nobla nie dostał, choć na nią zasługiwał. Jak wcześniej Herbert i Lem. Co w recepcji ich dzieł nijakiej przeszkody i tak nie stanowi.

Przez 50 lat usiłował pokazać złożoność świata i obalić mit Innego - innego poprzez język, kolor skóry, doświadczenia historyczne i kulturowe. Zbliżał ludzi do siebie, każąc im dostrzec coś, co Anglicy nazywają „least common multiple”, budował mosty w świadomości, dystansował się od pozorów. Pisał o swoich strachu i strachu setek głodnych, wypędzonych, uwięzionych w najprymitywniejszych warunkach. Był jednym z członków Wspólnoty Świata i to samo proponował czytelnikom. Trudna rola...

Dane mu było perfekcyjnie posługiwać się słowem. I myślą. Od chwili powstania „Cesarza” bardziej był antropologiem kulturowym i filozofującym socjologiem, niżli dziennikarzem. Klimaty, które tworzył – także w tomach „Lapidariów” i wierszy – kazał wierzyć, iż „imperium” wartości, których bronił – trwa. Nie zbudował go wprawdzie sam, ale ma w nim niemały udział.

**LECH L. PRZYCHODZKI**



**„...dotąd tylko świat interpretowali...”, czyli: jak wyjść z kredowego koła bezsilności myślenia lewicowego**

Ukazała się książka (choć pewnie nie będzie łatwo dostępna), o której zaistnieniu warto poinformować inteligentnych i ciekawych świata Czytelników. To „zbiórka” młodych autorów (E. Majewska, E. Charkiewicz, M. Herer, J. Sowa, R. Dziadkiewicz, A. Nacher, P. Wielgosz, K. Lewandowski, J. Urbański) pt. **ZNIEWOLONY UMYŚŁ 2. NEOLIBERALIZM I JEGO KRYTYKI**, Kraków 2007, s. 397 – dowodząca, że myślenie lewicowe w Polsce „jeszcze nie zginęło”, a może nawet „odbija się od dna”.

Tytuł błędnie sugeruje „ciąg dalszy” znanego dzieła z zakresu „psychologii polityki” Czesława Miłosza, gdy tymczasem jest to zbiór wypowiedzi raczej z zakresu historiozofii i antropologii kulturowej, z dużą dozą tzw. „diagnoz czasu”, bliskich politycznej i ekonomicznej dobie „globalizacji”. Korzeniami myślowymi tkwi owo myślenie w szkołach „francuskich” (M. Foucault) i niemieckich („frankfurtczy”), a tematycznie bliskie jest rozważaniom M. Hardta i A. Negriego czy N. Klein (prawie nieobecny jest S. Žižek). Autorowi tych słów szczególnie podobały się teksty J. Urbańskiego i K. Lewandowskiego, ale to rzecz gustu...

Słabość samej książki jak i paradygmatu, z którego się „wylega”, jest taka, iż kompetencja w sprawach politologicznych i ekonomicznych nie jest tu symetryczna do kompetencji w kwestiach „cywilizacyjnych” (tj. co do – po marksistowsko mówiąc – „bazy”). Brakuje zupełnie pomysłów o naturze tego, co jest główną „koniecznością” współczesnego świata „turbocywilizacji”, do eksplozywnego rozwoju techniki. Heideggerowskie „pytanie o technikę” nie zostało tu ani postawione ani ukierunkowane ku rozstrzygnięciom, a przecież jest to ów mglisty kontur, który czernieje w chaosie przypadkowości i faktyczności lat obecnych – nie od dziś. Spotykamy w tym zakresie nawet tak urocze brednie jak opinia prof. L. Nowaka, iż „technika nigdy nie służyła ludzkości. Technika służyła zawsze najsilniejszym spośród ludzkości: władcom, właścicielom, doktrynerom”. Wyobraźmy sobie, jak to niewinna żarówka służy „władcom, właścicielom, doktrynerom” albo jak robi to fujarka w rękach pastuszka, długopis w dłoni ucznia czy lusterko, ujęte przez kobietę. Ciarki przechodzą też po plecach, gdy czytamy, iż „nędza i wykluczenie stanowią integralny, funkcjonalny element systemu” kapitalistycznego oraz że „produkuje się je tak jak wszystko inne”. Naoczna obserwacja poucza, iż system produkuje również np. telefony komórkowe i to dość liczne, a także dostępny łatwo Internet, co nie tylko nie wyklucza jego uczestników, ale nawet ich „wkłucza”, np. w zespoły antyglobalistów...

Problem z „techniką” jest bowiem o tyle istotny, że „turbocywilizacja” stanowi jedyne remedium na eksplozję demograficzną ludzkości (mówi się o przybywaniu 1 miliarda osób co 20-30 lat) i w gospodarce możliwa jest wyłącznie <wydajnościowa> „ucieczka do przodu”: każda stagnacja, zastój i próba zastąpienia produktywności „sprawiedliwością” społeczną zakończyć się może niewątpliwie tylko eksplozją „demograficznego kotła”, czy byłby to konserwatyzm lewicowy czy prawicowy. O tyle „turbokapitalizm” w jego globalistycznej wersji dobrze się sytuuje „na linii dziejów”, choć bynajmniej „turbocywilizacja” nie musi występować wyłącznie w wersji „turbokapitalistycznej”. Wszelkie myślenie polityczne winno być tylko uzupełnieniem myślenia cywilizacyjnego, choć polityczność „wtórna” wobec „bazy” nie musi być nieważna: ster też umieszczony jest z tyłu, za okrętem, ale dość stanowczo nim kieruje: jednak „z tyłu”!

Były czasy, gdy dobrze to rozumiano: aby poskromić militarystyczny japończyków, Amerykanie pchnęli ich w konsumpcjonistyczny industrializm, „dołączając” do tego „demokrację”; aby ujarzmić islamskich pastuchów Azji Centralnej, Stalin budował im kanały, by stali się producentami bawełny i arbusów – opisywał to ładnie nieboszczyk Bruno Jasieński w powieści „Człowiek zmienia skórę”. Od tej pory nigdzie na rosyjskim rynku arbusów nie brakuje. Dopiero dzisiejsi Amerykanie uważają, że postęp historyczny osiąga się poprzez wybitcie terrorystów do nogi, a na pociechę – wprowadzenie wśród piasków demokracji parlamentarnej.

Przygoda człowieka z techniką prowadzi nas do jakichś „globalnych” Aten, opartych na „niewolnictwie maszyn”. W każdym razie: bez rozeznania, czym owa „techniczność” i „technologiczność” są, trudno pytać – „gdzie jesteśmy i dokąd idziemy”. Nawet niedawne katastrofizmy „wyczerpania się zasobów ropy”, które jeszcze Huntingtona skłaniały do scenariuszy kolejnej wojny światowej, rozwiewają się, niczym dym papierosowy, gdy poczyna swą karierę silnikową „energia wodoru”. Realny kryzys może nawet polegać na tym, iż nikt od Arabów, Rosjan czy Wenezuelczyków nie będzie chciał ropy kupować i trzeba im będzie poważnie włączyć się w rewolucje naukowo-techniczne.

Stan cywilizacji jest inny, niż przyjmowała to stara myśl lewicowa. Nie można nawet mówić o „akumulacji kapitału”, co kojarzy się z jego „tezauryzacją”. Ta rzekoma „akumulacja” to raczej patologicznie nerwicyowy „inwestycjonizm”. Duszą kapitalisty nie jest tu „zysk”, ale „inwestycja”: jak najszybsze puszczanie pieniądza „w obrót”, aby przyniósł pieniądze, które natychmiast... itd. To jest niemal kopernikański obraz „o obrotach ciał pieniężnych i gospodarczych”. Problemem stały się nieprawdopodobna tandetność i blichtr owej cywilizacji kapitalistycznej. I wirowanie wszystkiego - jak w mieście o „uczniu czarnoksiężnika”. Kapitalizm „koncentracyjny” zalewa społeczeństwo falą „tsunami” Produktów Finalnych, którym brak jest gombrowiczowskiej „niedojrzałości”: nie można ich przerabiać, uzupełniać, modyfikować – realizując indywidualny kreacjonizm,



*Autor podczas lektury xero artykułu Sumlińskiego. Fot.: Lele*

## DOBRE BYĆ ESBEKIEM

Prawie rok temu, 4. czerwca 2006 r. tygodnik „Wprost” opublikował artykuł Wojciecha Sumlińskiego, dotyczącego esbecko-mafijnych powiązań lubelskiego „establishmentu”.

Najbardziej obciąża on nadbystrzyckich prokuratorów. Oto okazało się, podczas sprawdzania billingu jednego z przypadkowo aresztowanych przestępców, że „złodzieje samochodów często dzwonili do policjantów z Wydziału Kryminalnego KMP w Lublinie.

Efektom śledztwa było aresztowanie trzech funkcjonariuszy z sekcji ds. walki z kradzieżami samochodowymi, postawienie zarzutów, a ostatecznie – rozwiązanie sekcji”. Ślad prowadził do szefa Prokuratury Okręgowej, Cezarego M. i szefa Wydziału ds. Przestępczości Zorganizowanej, Jacka K. Obu odwołano, aresztując „przy okazji” Andrzeja G., wicedyrektora Wydziału gospodarki Komunalnej UM w Lublinie.

Kolejny podejrzany, w sprawie, tym razem, czysto łapówkowej, mianowicie naczelnik Wydziału Nadzoru nad Postępowaniami Przygotowawczymi Prokuratury Okręgowej w Lublinie Andrzej M. po prostu zrezygnował z pracy.

Jesienią roku 2000 zrobiono w Kozim Grodzie wszystko, by skruszony (czym?) gangster, Antoni S. nie został pierwszym w historii III RP świadkiem koronnym. Jego zeznania uznano jednak za logiczne i wiarygodne. Obciążał m. in. insp. Zbigniewa Głowackiego, który pomagając napadniętej kobiecie... stracił broń służbową. Prasa uczyniła z niego bohatera. Gangster miał inne zdanie, zeznał bowiem, iż już jako komendant wojewódzki – Głowacki poszedł na „układ” ze światem przestępczym – odzyskał broń w zamian za nietykalność sprawców jej kradzieży.

Włodzimierz Blajerski, ówczesny prokurator apelacyjny, należy do ludzi o czystym sumieniu. Wydając walkę korupcji i mafijności lubelskiej wierzuszki policyjno-prokuratorowskiej naraził się „układowi”. Dzięki niemu jednak pracę straciła min. sprawiedliwości Barbara Piwnik a katowicka prokuratura od lat kilku ma kogo ścigać w Lublinie. Lokalne „niezależne” media rozpoczęły więc nagonkę na Blajerskiego (lata 2002-2003) - co pamiętam i co mnie kiedyś zastanawiało – politycy i przedsiębiorcy znad Bystrzycy oskarżali go niedwuznacznie o esbecką przeszłość. Do najczęściej atakujących prokuratora należeli: poseł LPR – Robert Luśnia, posłanka Teresa Liszcz, szefowa FS Holding Wanda Włoch i Jacek Raś, były prezes „Sipmy”.

Kiedy jednak Zarząd Regionu Środkowowschodniego NSZZ „S” powołał spec-komisję, nazwaną „Ujawnić Prawdę”, okazało się (o tej, regionalnej, liście kapusiów pisała „U...” nie tak dawno temu), iż albo sami atakujący Blajerskiego, albo członkowie ich rodzin, byli cennymi współpracownikami SB. Luśnia – ps. „Nonparel”, powiązany z Rasiem syndyk masy upadłościowej po Fabryce Samochodów Ciężarowych – mec. Leszek Liszcz (już wówczas BYŁY mąż posłanki Liszczowej) etc. A jeszcze przed badaniami komisji „S” chodzili wszyscy w glorii bohaterów solidarnościowego „podziemia”... W Lublinie realnie nieistniejącego, poza układem esbeckim...

Wojciech Sumliński zauważa w „opiece” nad konfidentami lokalny, lubelski koloryt. Otóż niemal wszyscy, którzy za sprawą Włodzimierza Blajerskiego są „prześwietlani” przez katowickich prokuratorów, w międzyczasie służbowo... awansowali.

Dobrze nad Bystrzycą być esbekiem. Ludziom tam – znacznie mniej wesoło.

EDWARD „LU” SOROKA

Sama akcja trwała do znużenia się i przemarznięcia widzów. Jurek „szamanił”, Alek był wszędzie, gdzie mógł. A nad dziedzińcem BWA brzmiał dyskretnie dźwięk tybetańskich gongów Tomka. Niewiadomy akurat WIE, co gra. Podobnie jak obaj happenery świadomi byli głębszej warstwy swego zdarzenia. Publiczność – jak to publiczność. Należy docenić, iż – szcękając zębami z zimna – jednak znalazła chwilę czasu, by dotrzeć na dziedzińiec galerii. W samym BWA wystawa K. Kozyry. Nic nowego, bo też hasło „sztuka kobieca” z daleka jedzie fałszem. Albo się jest uniwersalnym – albo „kobiecy” czy „męskim”. Tyle, że wtedy sztuka mówi nam: „Pa, pa...”. I na placu boju o duszyczki zostaje ideologia. Kozyra nie będzie Shirin Neshat. Bo Iranka JEST artystką.



*„Anastazy” Wiśniewski tym razem w St. Petersburgu.  
I Petersburski Festiwal Abstrakcji, rok całkiem bieżący,  
kurator – Nikołaj Tiopły*



*Od lewej: prof. Stefan Symotiuk i Lech L. Przychodzki w Janowcu. Fot.: A. Brytan*

ale można używać ich w ruchu wahadłowym: zakupienie – wyrzucenie na śmietnik. „Darwinizm”, który zawsze przerażał lewicowców, posiadał przynajmniej jedną zaletę: uznawał mutacyjność wszystkich elementów przyrody. „Lewiański darwinizm” kapitalizmu „koncentracyjnego” dba o bezpieczeństwo socjalne rybiego stada, ale też dyktuje każdej rybce długość oraz szerokość płetw i ogona.

Mówiąc powyższe nie opowiadam się za „różnorodnością” czy „wielorakością”, właściwą postmodernistycznemu „relatywizmowi kulturowemu”. Jeśli ma być jakaś skuteczna „diagnoza czasu” (i „terapia czasu”) – niechże i nazywa się „alterglobalizmem” – to nie można o niej pisać, iż „alterglobalizm nie może być spójnym projektem” (str. 370) – dopóki nie zatrzymał się w rozwoju, nie wiemy jaki być „nie może”. Nie można też pisać, iż „alterglobalizm zakwestionował historyczną nieuchronność kapitalizmu”. Tak – zdaniem Poppera – uczynił historyzm z historycyzmem. A tymczasem Marks miał kapitalizm za konieczny i był zachwycony jego rewolucyjną zdolnością „twórczego niszczenia”. W zakresie „postępu technicznego”, w jego konstruktywnym i destruktywnym działaniu, linia rozwoju w dziejach jest oczywista. Może kultura wiejska i miejska są multikulturalnie równoważne, ale ich cywilizacyjna nierówność jest oczywista. W końcu: czy biega się do „sławojki” za stodołę, czy korzysta z łazienki (w wielu mieszkaniach kreowanych na małą świątynię) to nie jest żadna wartość relatywna (zwłaszcza w porze zimowej). Rzekomy „pluralizm kulturowy” współczesnej humanistyki pomaga koncertom sprzedawać swoje wyroby, gdzie tylko się da, bez martwienia się - czy przynoszą one „konieczny postęp” różnym ludom świata, gdyż przecie „postępu” w ogóle nie ma. Tym bardziej przeciwstawia się relatywizm i pluralizm „utopiom”, gdyż chcą stworzyć jakiś wspólny mianownik „świata ludzkiego”, a tym samym poważnie ograniczyć sprzedawanie ludziom byle czego i drenowanie ich ze wszystkiego, co tylko mają.

Relatywizm kulturowy i historyczny jest kontrewolucyjny, a chaos trudniejszy do opanowania, niż największa „konieczność”. Łatwiej znaleźć remedium na ład, niżli bałagan. Kiedy w XVIII w. pojawiło się państwo w wersji aż do bólu „przezroczyste”, absolutyzmu oświeconego, natychmiast też pojawiły się teoretyczne wizje jego reformowania: Monteskiusz wymyślił „podział władz”, aby rozparcelowane państwo limitowało samo siebie, zaś J. J. Rousseau - demokrację „referendalną”, która miała oddolnie przeciwstawić się biurokratycznemu molochowi. Również w dobie istnienia dość „przejrzystego” w strukturze „socjalizmu realnego” istniały niezliczone próby tworzenia różnych, bardziej „miękkich” typów socjalizmu. Dopiero eksplozja kapitalizmu wtrąciła świat w „maż”, grząską i chaotyczną, gdzie wszystkie drogi i ścieżki uległy splątaniu. Po części problem polega też na tym, że „cywilizacja techniczna” jest czymś bardziej niezrozumiałym i tajemniczym, niż „polityczność”. Tu leży „kredowy krąg” słabości naszego myślenia. Oddajemy technikę w pacht „kapitaluchom”, bo jej nie rozumiemy.

Ale może powrócimy do wiedzy, iż kapitalizm był lepszy niż feudalizm, feudalizm niżli niewolnictwo i że postęp jest nadal „przed nami”, może odrodzi się też zuchwałość i krzepa tego, co Ernst Bloch nazywał „duchem utopii”. Taką teoretyczną „parenklizą” w omawianej książce jest esej Krzysztofa Lewandowskiego o gospodarce wywołanej z lichwiarskiego monetaryzmu. Czy byłaby ona zdolna sprostać potrzebom ludności, przyrastającej o miliard co lat 30? „Antylichwa” istnieje dziś w gospodarce krajów islamu i choć nie prowadzi do upadku tej gospodarki – nie rodzi również żadnych ekonomicznych cudów. Ale „bicz lichwy” jest też zdziaczałym sposobem „poganiania konia historii” i może trzeba by go czymś zastąpić... Gdyby „koncept Lewandowskiego” uzupełnił tym, co o gospodarce „modularnej” techniki pisywał A. Toffler i gdyby jeszcze udało się (a wierzę, iż jest to

realne) przeprowadzić skuteczną „bitwę o handel” z wielkimi sieciami hipermarketów, trzymającymi za gardło przeciętnego klienta – może metodami, nad jakimi przemyślał ongi Edward Abramowski – to dało by się pójść naprzód. Łączenie różnych paradygmatów jest ciągle twórcze: tak jak w technice bezpieczne substancje – węgiel drzewny, siarka i potas – tworzą wybuchowy „proch strzelniczy”, tak i w myśleniu społecznym warto kombinować różne mikstury i systemy.

Umysły, które nad takimi „wynalazkami” przemyślują, są bezcenne i wcale nie muszą w swej kreatywności być totalnie wolne: czy opisywany w powieści „Kamień i cierpienie” Michał Anioł, tworzący olbrzymie freski w Kaplicy Sykstyńskiej, nie był umysłem „zniewolonym” swoją wizją? Czy wszelcy artyści, myśliciele, wizjonerzy nie powinni oferować bliźnim dzieł i teorii „zniewalająco wspaniałych” i inspirujących? No właśnie...

Dodajmy do tego, iż czas nie nagli dramatycznie. Dawna myśl lewicowa żyła w millenarystycznym oczekiwaniu na realizowanie się „cyklów kryzysowych”. Rzeczywistość te oczekiwania potwierdzała. Choćby kryzys 1929 roku pokazywał „wszem i wobec”, że „czas jest bliski”. Po II wojnie światowej kapitalizm znalazł jakieś metody, aby cyklów unikać – ale może tylko „kumulują się” tu trudności i pojawiają się jeszcze dziejowe okazje do fundamentalnych przemian. Od takich diagnoz myśl lewicowa też nie powinna stronić.

## STEFAN SYMOTIUK

Majewska E., Sowa J., (red.), *Zniewolony umysł 2. Neoliberalizm i jego krytyki*, Korporacja Ha!art, Kraków 2007



## NE základnám

občanská iniciativa proti umístění americké základny v ČR  
a za uspořádání referenda o umístění základny

### Kontakt z redakcją:

red. nac.: Lech „Lele” Przychodzki, z-ca red. nac.: Vanda Zakrzewska,  
2F Fenghua Mingdu, no. 169 Mayuan Lu, 315010 Ningbo, China

**Stale pisują i tłumaczą:** Agnieszka Brytan, Krzysztof Drabik, Dominik Fijałkowski,  
Sebastian Glica, Michał Graczyk, Wojciech Kajtoch, Marian Karaś, Remigiusz Kasprzycki,  
Krzysztof Lewandowski, Edward „Lu” Soroka, Katarzyna Piotrowska,  
Henryk Sporoń, Oskar Szwabowski, Bartłomiej „Bart” Świderek, Ryszard Tomczyk,  
Agnieszka M. Wasieczko, Bogdan „Anastazy” Wiśniewski, Lukaso Wróbel,  
oraz przyjaciele z Białorusi, Litwy, Rosji i Ukrainy

**Graficy:** Jerzy Jakubów, Andrzej Kot, Kateřina Mojsějová

**Opieka nad sprzętem technicznym:** Krzysztof (ADAM) Szmydt, Jacek J. Wałdowski

**Uwaga:** teksty e-mailowe – jako dokument – mają formę oryginałów;

**PDF-y „Ulicy...” na stronie:** <http://innyswiat.most.org.pl/ulica/> (Admin: Arkadiusz Jeleń)



*Jerzy z dymiącą pochodnią, Alek z zimnym ogniem... Fot.: Lele*

Zrobiliśmy też sondę wśród znajomych i okazało się, że prawie każdy ma coś, czego w godziwy sposób chciałby się pozbyć... listy, dokumenty, szkice, fotografie... etc.”

Na [www.personum.republika.pl](http://www.personum.republika.pl) przeczytałem z kolei:

21.03.2007 - Wrocław - Koncert - dziedziniec Galerii BWA we Wrocławiu - godz. 18.30  
AUTO DA FE 2007 /portugalskie/ - akt wiary

JERZY STARZYNSKI I ALEK GRZONDZIEL-BENNETT  
TOMASZ NIEWIADOMY - gongi, instrumenty orientalne

Auto da fe 2007 jest w zamyśle zdarzeniem literacko-wizualnym, o charakterze kathartycznym, wędrującym w kierunku misterium. Każda osoba w nim uczestnicząca, o ile chce, ma możliwość prezentacji tego, co przyniosła i uwolnienia się od tej rzeczy. Może pozwolić, by przedmiot zabrał ktoś inny lub by zmienił się w popiół i dym pachnący ziołami. Żywa muzyka /gongi tybetańskie, instrumenty orientalne/ i grzane wino dobarwią wieczór.

„Uwolnieniu” ulegają tylko przedmioty naznaczone „piętnem osobistym”: zdjęcia, listy, teksty literackie, wiersze, dokumenty, szkice, obrazy bez oszklenia, a o większym formacie wyjęte z ram i zdjęte z krosien, nieduże formy rzeźbiarskie itd., czy też pamiątki jak np. zabawki... Zdarzenie nie jest okazją do pozbycia się gratów lub szpeji, szczególnie z gumy, plastiku czy szmat... Nie „uwalniamy” też książek, których miejsce jest zawsze wśród ludzi.

Zapraszamy do wspólnego misterium w środę, 21. marca o 18.30 na dziedziniec Galerii BWA we Wrocławiu przy ul. Wita Stwosza (wejście na dziedziniec galerii od ul. św. Wita za wejściem do klubu muzycznego Gumowa Róża).

**Komentarz od-Lelowy:** stawiłem się, a jakże, obejrzawszy po drodze dwie grupy demonstrantów w Rynku. Pogoda nie była już tak fatalną, jak dzień wcześniej, śnieg przywitał mnie dopiero nocą w Wałbrzychu. Jerzy i Alek zrobili swoje, ich znajomi popalili, na co mieli ochotę. Osobiście puściłem z wonnym od ziół dymem reprodukowany w lutowej „U...” numer „Miejskiego Przewodnika Komunikacyjnego”. I co? Tuż po powrocie na GG – córka. „Wiesz, że MPK przywróciło komunikację nocną?” (Po kilkunastu latach dysput w Ratuszu !!!). I jak tu nie wierzyć magicznym gestom???

List, ogłoszony - o czym przypominają jego autorzy - w czwartą rocznicę „czarnej wiosny”, czyli fali represji przeciw opozycji demokratycznej na Kubie - opublikował w niedzielnym wydaniu wychodzący na Florydzie dziennik „Miami Herald”. Floryda jest głównym ośrodkiem uchodźstwa kubańskiego w USA po rewolucji Fidela Castro.

Kwaśniewski i Wałęsa przypominają w liście, że w 1989 r. „zasiadali po przeciwnych stronach” polskiego Okrągłego Stołu, który - jak podkreślają - doprowadził do pokojowego rozwiązania konfliktu społeczeństwa z reżimem komunistycznym i do demokratycznej transformacji.

„Jesteśmy dziś niezwykle dumni z tych osiągnięć i w pełni ufni, że wybór porozumienia dla korzyści i przyszłości Polski - pomimo pewnych resentymentów i niepokoju w środowiskach, które reprezentowaliśmy - był właściwym wyborem. Niech słowa te, które piszemy razem, wraz z przykładem wolnej i czyniącej postępy Polski, posłużą za świadectwo triumfu porozumienia nad konfliktem, dialogu nad kłótnią i dobra nad złem” - napisali obaj byli prezydenci.

Wzywając naród kubański, aby był „gotowy do budowy wspólnej przyszłości dla wszystkich Kubańczyków”, Kwaśniewski i Wałęsa obiecują bliżej nieokreślone poparcie ich wysiłków. „Dostarczymy wam naszego poparcia w waszych staraniach. Zarówno słowie, jaki i czynach” - czytamy w liście.

### TOMASZ ZALEWSKI



**On Thu, 15 Mar 2007 22:38:11  
+0100, Barbara i Jerzy Starzyńscy  
wrote**

*Drodzy, w imieniu własnym oraz „wspólników”,  
zapraszam u progu wiosny – 21. marca o godz.  
18.30 na dziedziniec BWA Awangarda przy ul. Wita  
Stwosza - na swoiste jej powitanie; intencje, sens  
i szczegóły zamierzenia - poniżej;  
z pozdrowieniami - Jurek Starzyński*

*Na pierwszym planie Jerzy, w głębi Alek.  
Fot.: Lele*

dziedzińcu BWA, nie wiedziałem, że w tym czasie umierał mój Ojciec. Segregując pozostały po nim dobytek w masie najdziwniejszych przedmiotów, książek, dokumentów i wszechobecnych znaczków pocztowych, znajdowały się też zdjęcia: sytuacyjne, okolicznościowe, portretowe... Wielu osób i zdarzeń nie byłem w stanie zidentyfikować i nikt już mi w tym nie pomoże. Co zrobić z takim bagażem? Ani go komuś, czy gdzieś przekazać, własnego mam już za nadto, a wyrzucić jakoś się nie godzi. Męczył mnie ten problem dość długo, aż pewnego

**Alek:**

„Gdy niemal dwa lata temu świętowałem swoje 50-te urodziny <Happeningiem z dyskieta> na

## NETÓWKA NR 2

**Italský stařík se chystá na oběnou dráhu  
vesmir.info, (12. 2. 2007)**

Jako „pokusné morče” hodlá fungovat dvaadevadesátiletý Ital Cesare Massano na oběné dráze kolem Země. Soukromé italské středisko pro vesmírné lety Spaceland totiž hodlá zkoumat vliv absence gravitace na staré lidi.

Spaceland hledal inzerát staré osoby ochotné podniknout výlet ve stylu volného pádu, vysvětlil Massano. Stařík ze severoitalského Turína, který začátkem dubna oslaví 93 let, neváhal, přihlásil se a teď jej čeká cesta do Cape Canaveral na americké Floridě, kde uskuteční let mimo atmosféru.

Na palubě lodi Spaceship Two Explorer uskuteční „parabolický let mimo atmosféru, který zahrnuje také pět minut ve stavu beztlaku. Rovněž se zúčastní letu Boeingu 727, který byl ve spolupráci s americkou agenturou NASA adaptován na vytvoření nulové gravitace”, uvádí se v dokumentaci projektu.

Při obou letech bude mít stařík na sobě speciální oblek, který bude monitorovat údaje a změny v jeho organismu, vysvětlili odborníci z vesmírného střediska.

Massano, který a do svých 63 let pracoval v továrně Fiat, odpověděl na inzerát a vesmírné středisko jej kontaktovalo. Chtělo však, aby za cestu zaplatil. Stařík ale kontroval, že nic nezaplatí, protože vůbec nechce být turistou. Svým nadšením nakonec vědce přesvědčil a ti jej zařadili do projektu.

Budoucí astronaut už prošel lékařskými testy a nyní prodělává výcvik, i když se sám považuje za atletický typ. Sám se totiž věnoval lyžování, podmořskému rybolovu a stále ještě chodí plavat.

V kruhu svých nejbližších, tedy dvou dětí a pěti vnoučat, čeká na nové zprávy z vesmírného střediska a svěřuje se se svým tajným přáním: „Rád bych obletěl zeměkouli, ale nevím, jestli mi to dovlí.”



*Dorota Kozakiewicz  
Management Assistant, SpaceLand -  
NASA/FSRI Mission Control Center  
Tel. (+39) 011/234.14.635 - (+39) 011/  
234.14.684  
Via Rivalta n. 9 - Grugliasco (TO) -  
10095 ITALY  
<http://www.spaceland.it>  
Program SPACELAND  
nadzoruje m. in. Stephen  
Hawking.*



*Cesare Massano 3. května ukončil 93 lata. Włoskie i hispaňskojazyčné gazety Evropy i Ameryki Poľudniowej pošvičajú temu najstarszemu kosmonaucie sporo uwagi. W Necie znaleźć można fotografie z jego szkolenia. Polecamy pilotom polskich F-16. Može wytrzymają...  
Fot.: Giorgio Sandrone*

## Portrety Putina chronią drzewa przed wycinką

Piątek, 6. kwietnia 2007

IAR - dodane 55 minut temu

<http://wiadomosci.wp.pl/wiadomosc.html?kat=1356&wid=8810092&rfbawp=1175862264.798&ticaid=1384e>

**Portrety prezydenta Władimira Putina mogą obronić drzewa przed wycięciem. Przekonali się o tym mieszkańcy Stawropola, na południu Rosji.**

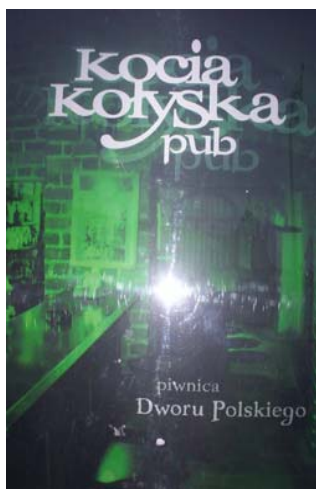
W jednym z miejscowych parków - Tamańskim Lesie - zamierzano zbudować elitarną dzielnicę mieszkaniową. Budowniczym zezwolono na wycięcie kilku drzew. Jednak po każdej nocy ściętych drzew przybywało. Jak pisze gazeta „Izwestia”, zaniepokojeni wycinką lasu mieszkańcy Stawropola wpadli na pomysł aby do drzew przyczepić portrety prezydenta Rosji.

Następnej nocy nie wycięto ani jednego drzewa. Potem ktoś usiłował zdejmować portrety Władimira Putina.

Mieszkańcy wiedząc, że bez nich drzewa znów będą ścinane, dowiesili nowe. Sprawa doszła do Sądu

Najwyższego, który uznał, że osiedle jest budowane bezprawnie i powinno być rozebrane.

(aka)



Wrocław – patrona zabrakło... Fot.: Lele

## Zmarł Kurt Vonnegut

oski, Czw, 2007-04-12 09:34

[http://cia.bzzz.net/zmarl\\_kurt\\_vonnegut](http://cia.bzzz.net/zmarl_kurt_vonnegut)

*Myśląc każdy z osobna o brutalnych praktykach świata biznesu, doszli do oczywistego wniosku, że pola bitewnej pierwszej wojny światowej są niczym innym jak dodatkowymi placówkami obrzydliwie niebezpiecznej pracy, gdzie garstka ludzi dogląda zagłady milionów w nadziei, że zbije na tym grubszą forszę. K. Vonnegut, **Recydywista***

Wśród w Nowym Yorku zmarł Kurt Vonnegut jr. Miał 84 lata. Był autorem wielu wspaniałych książek... *Pianola, Kocia kołyska, Hokus Pokus, Rzeźnia numer pięć, Sinobrody...*

Urodził się 11. listopada 1922 roku w Indianapolis. W 1950 roku postanowił zostać pisarzem. Kurt Vonnegut był nieprzejednanym krytykiem rozwoju kapitalistycznego społeczeństwa, z niespotykanym humorem pisał o rzeczach ważnych i trudnych.



<http://www.vonnegut.art.pl/>

*Żyj tak, byś mógł powiedzieć Bogu w dniu Sądu Ostatecznego:  
Byłem bardzo dobrym człowiekiem, choć w Ciebie nie wierzyłem.*  
K. Vonnegut, *Niedziela Palmowa*



## Odchodzą i inni:



Tadeusz Nalepa



Zygmunt Kęstowicz



*Dla kontrastu - nic mnie od dawna tak nie ubawiło...*

Lele

[www.wp.pl](http://www.wp.pl)

Wtorek, 27. marca 2007

## List Kwaśniewskiego i Wałęsy do Kubańczyków

PAP00:40

Lech Wałęsa i Aleksander Kwaśniewski ogłosili wspólny „List do narodu kubańskiego”, w którym wzywają Kubańczyków do dalszej pokojowej walki o demokrację.